WTOREK Nr 73 17 VIII 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

CAŁĄ PARĄ W „SUCHYM PORCIE"

WARSZAWA (CAF). Od początku roku notuje się dobre tempo prac w „suchym porcie" przeładunkowym w Żurawicy-Medyce koło Przemyśla. Dotychczas przeładowano już ponad 5 mln ton różnych towarów, wśród których przeważa ruda żelaza importowana dla naszych hut z Krzywego Rogu. Dużą część stanowią maszyny rolnicze sprowadzane ze Związku Radzieckiego, a także paliwa i oleje, różnorodne surowce dla przemysłu, jak również artykuły powszechnego użytku.

N/z: przeładunek surówki żelaza z radzieckich na polskie wagony.

(dr)

WIELICZKA WCIĄŻ ODKRYWANA

KRAKÓW (PAP). W muzeum żup solnych w Wieliczce dobiegają końca prace nad inwentaryzacją i zabezpieczeniem ponad 30 odkrytych dotąd podziemnych kaplic i innych miejsc kultu religijnego. Najstarsza spośród nich jest kaplica św. Antoniego, w której pierwszą mszę odprawiono w 1698 roku. Dotychczas nie udało się jednak dotrzeć do naprawdę najstarszej, znanej z przekazów źródłowych kaplicy, w której mszę odprawiono już w roku 1642.

Nie wszystkie miejsca kultu religijnego w tej kopalni uda się uratować. Są to przeważnie wykute w skale nisze, a w nich wyrzeźbione w solnej bryle figury świętych. W większości tracą one już swe pierwotne kształty. Dużo kapliczek i figur jest zagrożonych na skutek pęknięć czy tąpnięć urobisk.

Penetracja starych wyrobisk, sztolni i chodników, do których człowiek nie wchodził od setek nieraz lat, przynosi coraz to nowe odkrycia fragmentów rzeźb sakralnych, wykonanych w soli i drewnie. Wszystkie trafiają do pracowni konserwatorskich Wieliczki. **(kl)**

NASZE KRAJOBRAZY

WARSZAWA (CAF). Mamy w Polsce wiele parków krajobrazowych o łącznej powierzchni 236,4 tys. ha. Dziś przedstawiamy Kaszubski Park Etnograficzny. Założony został w 1898 r. w miejscowości Wdzydze Kiszewskie przez nauczyciela etnografa, badacza kultury ludowej Izydora Gulgowskiego. Tu wraz z żoną ożywili twórczość kaszubskich artystów ludowych, a zebrane zbiory zaprezentowali w kaszubskiej chacie („checzy") – otwierając tym samym w roku 1906 muzeum etnograficzne.

Dziś już dwie „checze" wchodzą w skład parku o pow. 12,5 ha.

(dr)

Jeszcze tylko 14 dni wakacji

Fot. W. Wróblewski

MINIKARY NA START!

ZWYCIĘZCY Z CIESZYNA

(Inf. wł.). Aż 42 zawodniczek i zawodników stanęło na starcie wyścigów minikarowych, przeprowadzonych w Cieszynie z okazji niedawnego Święta Odrodzenia. Dobrze się stało, że organizatorzy imprezy zaprosili do udziału w zawodach uczestników kolonii letnich. W tym celu przeprowadzono nawet specjalne ćwiczenia praktyczne, a nawet eliminacje. Sprzętu dostarczyli członkowie cieszyńskiej sekcji minikarowej.

A oto zwycięzcy w poszczególnych kategoriach: **Anna Woraczek** (Żółte, woj. koszalińskie), **Bożena Stroczyńska** (Barwice, woj. koszalińskie), **Wacław Bugala** (Rybnik), **Tadeusz Czekierda** (Wrzosowa, woj. koszalińskie) i **Dariusz Wieczorek** (Piekary). W punktacji drużynowej triumfowali reprezentanci PGR Gościno (woj. koszalińskie).

Warto dodać, że najlepsi zawodnicy otrzymali nagrody (ufundowane przez miejscowe zakłady pracy), a każda reprezentacja pamiątkowy talerzyk sekcji minikarowej w Cieszynie.

Zwycięzcom gratulujemy sukcesów, a organizatorom życzymy dalszych i równie udanych imprez. **(zp)**

UWAGA MINIKAROWCY! WSZELKIE PYTANIA NA TEMAT SPORTU MINIKAROWEGO KIERUJCIE NA ADRES RED. „ŚWIATA MŁODYCH", UL. MOKOTOWSKA 24, 00-561 WARSZAWA.

SZTUCZNY ŚNIEG

FRANCJA (PAP). Opracowano tu nowy typ aparatu do wytwarzania sztucznego śniegu, zasilanego ciekłym dwutlenkiem węgla z butli. Przeznaczony jest on głównie do zamrażania produktów spożywczych transportowanych na duże odległości, ale także można go używać na campingach, dla celów prywatnych. Aparat uruchamiany jest za pomocą żetonów i dzięki temu może zostać zainstalowany w punktach samoobsługi. Warto przypomnieć, że podobne urządzenia stosuje się w niektórych ośrodkach sportów zimowych do utrzymywania tras narciarskich. **(tok)**

SŁOWNIK GESTÓW

FRANCJA (PAP). Grupa naukowców francuskich opracowała i wydała po raz pierwszy szczegółowy słownik gestów, którymi porozumiewają się głuchoniemi. Opracowany nowoczesną metodą podręcznik liczy 300 stron, na których znajduje się 1200 zdjęć gestów służących do porozumiewania się ludzi pozbawionych słuchu i mowy.

Do tej pory głuchoniemi mogli się uczyć języka gestów tylko u specjalnych nauczycieli, którzy posługiwali się własnymi metodami nauczania.

Wydanie słownika nie tylko znacznie przyspieszy i ujednolici naukę, ale także umożliwi uczenie się języka gestów przez osoby, które zechcą na własną rękę opanować metodę porozumiewania się przez głuchoniemych. **(kl)**

HARCERSTWO POLSKIE W LATACH 1911–1945

WROCŁAW (PAP). We Wrocławiu otwarto wystawę zatytułowaną „Harcerstwo polskie w latach 1911–1945". Zgromadzono na niej kilkaset dokumentów, fotografii, reprodukcji, książek ilustrujących piękne tradycje harcerstwa polskiego w służbie dla społeczeństwa i ojczyzny. Poszczególne sekwencje wystawy pokazują dzieje polskiego harcerstwa w okresie do uzyskania niepodległości, jego rozwój w okresie 20-lecia międzywojennego, a także bohaterską działalność i walkę „Szarych Szeregów" w okresie hitlerowskiej okupacji.

Interesujący jest dział wystawy prezentujący mniej znane dzieje harcerstwa polonijnego, m.in. w Stanach Zjednoczonych, na Bliskim Wschodzie i we Francji. Wystawa będzie czynna we Wrocławiu do końca sierpnia br. **(kl)**

PROMIENIOTWÓRCZOŚĆ W OCHRONIE ZABYTKÓW

CSRS (PAP). Pracownicy czechosłowackiego Instytutu Badań Jądrowych wykorzystali promieniotwórczość dla ochrony przed szkodnikami zabytków sztuki, wykonanych z drewna i innych surowców naturalnych. W jednym z budynków muzeum w mieście Roztoki k/Pragi, pięć pomieszczeń zostało przystosowanych do denzynsekcji i konserwacji. Prowadzi się te zabiegi przy zachowaniu odpowiedniej izolacji. Przedmioty po dokonaniu wstępnych oględzin napromieniowywane są w odpowiedniej komorze dezynsekcyjnej radioaktywnym izotopem kobaltu. Za pomocą promieniowania gamma niszczy się wszystkie żywe organizmy w tych przedmiotach na głębokość do 500 mm, przy czym promienie nie wpływają szkodliwie na same zabytki. Proces dezynsekcji trwa od 24 do 48 godzin. W ciągu roku zabiegom takim w jednej komorze można poddać 2 tys. przedmiotów.

Dla dalszej ochrony zabytki pokrywa się specjalnymi roztworami konserwującymi, których receptura opracowana została także przez czechosłowackich naukowców. Urządzenie to umożliwia znaczne skrócenie okresu renowacji antyków. **(tok)**

Jak to jest z miłością nastolatków w dzisiejszych czasach?

KOCHA SIĘ CZŁOWIEKA, CZY RZECZY, KTÓRE ON POSIADA?

OD REDAKCJI: W „Redakcyjnej Poczcie" nr 52 zamieściliśmy list Waszego kolegi, Mariusza pt. „Serce jej bije do tego, który ma zegarek elektroniczny". Wielu z Was mocno poruszyła sprawa zawarta w tym liście. Nas zresztą też, nie ukrywamy. Celowo nie wypowiadaliśmy swojej opinii na ten temat. Czekaliśmy na Waszą. Drukujemy tylko kilka wypowiedzi, ponieważ wszystkie się nie zmieszczą (przyszło wiele). Listy powinny dać wszystkim dużo do myślenia. Najwięcej jednak byłej dziewczynie Mariusza. (m.m.)

CZY ONA JEST WARTA TWOJEJ MIŁOŚCI?

Przecież wyraźnie powiedziała „...jak kupisz sobie elektroniczny zegarek, to pogadamy". Pozna chłopaka z małym fiatem i porzuci właściciela zegarka. Przekonałeś się, Mariuszu, że ceni bardziej zegarek od Twojej miłości. Cóż, w naszym wieku prawdziwa i wzajemna miłość jest raczej rzadkością. Staraj się opanować złość i żal. Nie pokazuj przed kolegami i tą „Twoją", że jest Ci przykro.

Przemyśl wszystko i zadaj sobie pytanie: czy ona jest warta mojej miłości? Może już niedługo spotkasz miłość wzajemną? Świat nie jest taki zły, głowa do góry!

Anka

SĄ DWIE MOŻLIWOŚCI...

Potępiam Twoją dziewczynę, Mariuszu, i nie rozumiem jak ona może woleć chłopaka z zegarkiem elektronicznym od Ciebie? Rozumiem Twoją rozpacz, jesteś (jak każdy zakochany) zaślepiony miłością, ale ja mogę mieć dla Ciebie tylko jedną radę. (Właściwie są dwie możliwości, ale chyba tylko jedna jest dobra). Ponieważ dziewczyna zainteresowała się Twoim najbliższym przyjacielem (a raczej jego zegarkiem), może on, biorąc pod uwagę tę przyjaźń i Twoje uczucie, wytłumaczy jej, że źle zrobiła i skłoni ją do powrotu do Ciebie? Musisz przeprowadzić szczerą rozmowę z przyjacielem. Nie ma co wstydzić się cierpienia. Jeżeli jest to Twój prawdziwy przyjaciel, powinien Cię zrozumieć. Moim zdaniem najwłaściwsza (choć dla Ciebie bolesna) będzie druga możliwość. Jesteś podobno chłopcem atrakcyjnym, bardzo ładnym i masz powodzenie u dziewcząt. Nie powinieneś więc zaprzątać sobie głowy dziewczyną, która nie jest Ciebie warta. Zrozum, że najlepsza w takiej sytuacji będzie rozłąka z osobą, która wyżej stawia zegarek od uczucia.

15-letnia Julia

DAJ SOBIE Z NIĄ SPOKÓJ!

List Mariusza jest moim zdaniem, beznadziejny. Dziewczyna, której podoba się w chłopaku tylko to, że ma zegarek elektroniczny, jest po prostu głupia. Mariusz powinien zdać sobie z tego sprawę, machnąć na nią ręką i poinformować swojego przyjaciela o tym, że dziewczynie, z którą chodzi podoba się jego zegarek a nie on. Mądry chłopak nie napisałby takiego listu, ale dał sobie spokój z taką dziewczyną i nie prosił rodziców o kupienie zegarka elektronicznego.

„Flipek"

TA DZIEWCZYNA CENI PRZEDMIOTY, A NIE LUDZI

Mariuszu! Twoje zachowanie jest niewłaściwe. Mimo że ją kochasz (wierzę Ci w 100 proc.), nie powinieneś tego okazywać aż tak bardzo. Twierdzę, że ta dziewczyna jest pusta. Ceni wartości zewnętrzne, a nie wewnętrzne, jak osobowość i zainteresowania. Wykorzystuje swoje „powodzenie" u chłopców w sposób niewłaściwy. Myślę, że Twoje „drogi sercowe" zostały źle pokierowane. Zostaw ją w spokoju! Wiem, że trudno będzie Ci to zrobić. Spójrz na tę dziewczynę z innej strony. Udawaj, że cieszysz się z jej powodzenia. Jeżeli będziesz ją kochał w sposób niezauważalny, unikniesz jej lekceważącego i obojętnego tonu. Ona po prostu drwi sobie z Twojej miłości. Kiedyś zostanie sama i rzuci się w Twoje ramiona. Będzie słodka jak miód, a kiedy szczęście znów się do niej uśmiechnie, porzuci Cię dla zegarka elektronicznego, samochodu, spodni Lee, a nawet dla pieniędzy. Postaraj się znaleźć inną dziewczynę i spróbuj ją pokochać, ale przedtem dobrze ją rozszyfruj.

„Mała"

POSTANOWIŁAM ŻYĆ NADZIEJĄ NA LEPSZE DNI

Jestem czternastoletnią dziewczyną mającą wiele zmartwień. Chciałam się komuś zwierzyć, wyrzucić z serca wszystkie żale, ale nie miałam komu. Aby sobie ulżyć, postanowiłam napisać do Was. Jestem bardzo osamotniona. Czuję się na tym świecie nikomu niepotrzebna. Powinnam chyba co pięć minut mówić: „przepraszam, że żyję". Codziennie rano łzy, nie wiadomo po co. Chce mi się pewnie płakać nad moim nędznym losem. Jestem niezmiernie pechowa. To, co chcę zrobić, lub już zrobiłam każdy uważa za niewłaściwy krok i sądzi, że myślę, mówię i robię źle. Moje słowa są pustymi słowami, nie mającymi najmniejszego znaczenia (takie mam odczucie). Miałam przyjaciółkę – jedną i zaufaną. Zwierzyłam się jej i... koniec! Przekonałam się jaka była „zaufana" – powtórzyła wszystko innym. Potrzebowała mnie tylko do przepisywania zadań domowych, streszczeń, sprawozdań, do podpowiadania na klasówkach. Gdy jednak stopnie na koniec roku szkolnego zostały wystawione, stałam się piątym kołem u wozu – obgadywana i wyśmiewana przez moją najlepszą koleżankę. Są wakacje, a ja nie potrafię odpowiednio ich wykorzystać. Przestałam wierzyć sama w siebie. Na domiar złego zakochałam się w chłopaku, którego znam tylko z widzenia. Bardzo chciałabym poznać go osobiście, ale nigdy się na to nie odważę. Wiem, że ma piętnaście lat i jest wolny tzn. nie chodzi z żadną dziewczyną. Chciałam nawet napisać list do niego, ale nie wiem jak on traktuje takie sprawy. Może tylko machnie ręką, albo wyśmieje mnie? Gdy się mijamy patrzy na mnie, ale co takie patrzenie może oznaczać? Miałam już takie chwile, że nie chciało mi się żyć. Choruję na dość poważną chorobę. Teraz jednak postanowiłam żyć nadzieją. Na co? Na dzień, w którym będę rozmawiała ze swoją sympatią. Myślę, że to by mi pomogło wyjść z mojej niewiary w siebie, z odczucia, iż jestem nikomu niepotrzebna.

Smutna czternastolatka

KONFLIKT POKOLEŃ UTRUDNIA NAM WCHODZENIE W DOROSŁOŚĆ

Postanowiłem przyczyniać się do rozbudzenia wśród ludzi starszych zaufania do młodzieży. Jak to robię? Różnie, zależnie od okoliczności. Ustępuję miejsca w autobusie, staram się rozmawiać ze starszymi bardzo uprzejmie i w ogóle staram się rozumieć ich racje. Bardzo bym chciał, żeby młodzież nie uważała rodziców, dziadków, nauczycieli, sąsiadów za „wapniaków". Tyle miałem arcyciekawych rozmów ze starszymi. Oni pamiętają wiele zdarzeń, tyle potrafią opowiedzieć, a ciekawi są i naszych opowiadań.

Mam najwspanialszą babcię na świecie. Mogę z nią rozmawiać godzinami. Szkoda, że Ci, którzy uważają starszych za „nieżyciowych", za „dziwaków" nie mogli zobaczyć mojej 63-letniej babuni słuchającej transmisji z Mistrzostw Świata w piłce nożnej, czy Wyścigu Pokoju. To prawda, że nieraz starsi krytykują młodzież, ale też niektórzy z nas sami doprowadzają do tego. Chciałbym więc, aby i starsi przyglądali się każdemu z młodych indywidualnie i nie uogólniali złych opinii. Zresztą tak wśród młodych, jak i starszych nie ma chyba ludzi zupełnie dobrych ani zupełnie złych.

Konflikt pokoleń martwi mnie i niepokoi. Chciałbym, żeby wszyscy starali się go złagodzić. Do niczego bowiem jest niepotrzebny. Po prostu utrudnia życie, utrudnia nam wchodzenie w dorosłość.

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

„Krytyk społeczny", czyli „tchórz"

W 55 numerze „ŚM" ukazał się mój list adresowany do „Kącika Przyjaciół"; napłynęło do tanie sporo odpowiedzi.

Między innymi znalazłam tam kartkę pocztową z wizerunkiem Koziołka-Matołka, na której było napisane: „Lepiej nie mogłaś wybrać? Jak można lubić tych szmaciarzy? Co za gust? Wstydź się!!! To nie brukowiec, a porządna gazeta!!! – Krytyk społeczny."

Ponieważ ów „krytyk" nie podał swojego adresu, to chciałabym mu odpowiedzieć za pośrednictwem naszej gazety.

Krytyku społeczny! O tym, że „ŚM" to nie brukowiec, lecz porządna gazeta, wiedziałam już dosyć dawno, nie dobrze, że mi to przypomniałeś.

Dziękuję Ci również za Twoją fotografię, (chodzi o tę samotną postać z białą brodą) z drugiej strony kartki. Wyglądasz dokładnie tak, jak sobie Ciebie wyobrażałam.

Twój list szalenie mnie wzruszył. Myślę, że jesteś okropnie podszyty tchórzem, gdyż napisać anonim (a w dodatku jeszcze tak bezmyślny) to każdy potrafi, ale podpisać pod taką treścią swój adres, to dopiero coś!

Alicja Boskowska

P.S. Kochany „ŚM"! Wysyłam również „dowód rzeczowy" – Twoją kartkę z wizerunkiem „Krytyka". Przepraszam, że jest przedarta, ale w pierwszym porywie „szlachetnego oburzenia" nieco ją zaczodziłam.

A.

OD REDAKCJI. Czytelnikom, którzy nie czytali listu Alicji chcemy wyjaśnić, że jego autorka napisała, iż lubi takie zespoły muzyczne, jak Bee Gees, Abba, piosenkarzy: Barbrę Streisand, Annę Jantar, i Elena. Interesuje ją także mitologia (Grecja). Istotnie, „Krytyk społeczny" ma zaskakującą opinię o zainteresowaniach Alicji. A ponadto „Krytyk społeczny", jak sama nazwa wskazuje, powinien być tolerancyjny wobec innych, a także mieć odwagę podpisać się pod tym, co napisał. A skoro tak nie jest, to musi sobie zafundować pseudonim „Tchórz", co zresztą słusznie zaproponowała mu Alicja. (bs)

Ludzi walczących o dobro społeczne powinno być jak najwięcej

Piszę w odpowiedzi na list z 55 numeru „Świata Młodych" pt. „Jak będzie, gdy zabraknie ludzi odważnych, walczących o dobro społeczne?". Autorka tego listu jest po stronie ojca, ja również. Wydaje mi się, że ludzi walczących o dobro społeczne powinno być jak najwięcej. Nie uważam, że ci ludzie przez swoją działalność robią sobie wrogów, wprost przeciwnie, zdobywają przyjaciół i pomagają nam w urządzaniu lepszego życia.

Grażyna Śmielewicz

Czy rodzice powinni nam wybierać przyjaciół?

Od dłuższego czasu przyjaźnię się z koleżanką z sąsiedniej wioski. Podczas dwóch lat przeżyłam z nią wiele przygód lepszych i gorszych. Ma dobry charakter, pochodzi z dobrej rodziny i w dalszym ciągu chcę się z nią przyjaźnić. Nie wiem co się stało, że moi rodzice nie pozwalają mi z nią przebywać, mówią, abym przyjaźniła się z inną dziewczyną, za którą ja się wstydzę. Nieraz pytałam dlaczego nie pozwalają chodzić mi z Mariolką, ale oni nie umieją tego wytłumaczyć, bo nie mają żadnych podstaw. Nie rozumiem dlaczego akurat tak się stało, że wybrali dla mnie tę dziewczynę, której nienawidzę? Pochodzi ona z wielodzietnej rodziny. W jej domu panuje rozgardiasz, nie można się uczyć, ani spokojnie posiedzieć. Jak mam postępować?

Monika Z.

Spotkania

FORUM

To już nasza ostatnia podróż zagraniczna tego lata. Dokąd? Tam, gdzie krzyżują się wszystkie szlaki świata – na nowojorską Pierwszą Aleję, między 42 i 48 Ulicą, gdzie wznosi się znana wszystkim wysoka sylweta oenzetowskiego gmachu.

Kiedy znalazłem się tam dobrych kilka lat temu, przekraczając światowe progi, w drukowanym na ciemnoniebiesko folderku z fotografią uśmiechającego się Kurta Waldheima, przeczytałem następujące, napisane przez niego, zdanie:

„Witaj w siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych. To jest Twoja organizacja. Mam nadzieję, że ta wizyta będzie pouczająca i przyjemna."

Najpierw urocza Hinduska w powłóczystym sari oprowadza nas po gmachu. Informacje o historii i teraźniejszości ONZ przeplata pokazywaniem darów, które od różnych państw i osób napłynęły do tego budynku. Dzwon pokoju ofiarowany przez Japończyków, fontanna, którą sprezentowały organizacji amerykańskie dzieci, miniatura radzieckiego sputnika, Chrystus Ukrzyżowany od Pawła VI, błękitny witraż Marca Chagalla, upamiętniający tragiczną śmierć w katastrofie lotniczej Szweda Daga Hammarskjölda, sekretarza generalnego ONZ z trudnych lat 1953–61, laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Jego i jego następcę, Birmańczyka U Thanta rozpoznaję w galerii portretów byłych sekretarzy.

Zaczynamy zwiedzać puste o tej porze sale. Olbrzymie malowidło norweskiego artysty, symbolizujące obietnicę przyszłego pokoju i wolności, w sali Rady Bezpieczeństwa, gdzie ustawiane właśnie na stołach szklanki i popielniczki wskazują na rychły początek posiedzenia. W sali Rady Powierniczej drewniana statua młodej kobiety z uniesionymi w górę ramionami, symbolizująca ludzkość i nadzieję. To rzeźba jakiegoś Duńczyka. W sali Zgromadzenia Ogólnego kolorowe abstrakcyjne malowidła Fernanda Legera.

Punktualnie o trzeciej po południu zajmuję miejsce w sali Rady Bezpieczeństwa na galerii dla publiczności. Za chwilę będzie rozstrzygany konflikt graniczny między Iranem i Irakiem. (Jak widać, w światowej polityce zmiany zachodzą wolno, skoro posiedzenie to miało miejsce kilka lat temu). Zaczynają się schodzić delegaci. Przewodniczy przedstawiciel Kenii. Obecny jest Kurt Waldheim.

Nasza galeria pilnowana jest przez umundurowanych strażników. Nie wolno fotografować ani robić notatek. (Niepostrzeżenie udaje mi się zrobić jedno zdjęcie). Siedzącym w pierwszym rzędzie nie wolno opierać się o balustradkę ani kłaść tam czegokolwiek. Gdy odruchowo wychylam się do przodu, strażnik zjawia się natychmiast.

Dwadzieścia po trzeciej zanosi się na początek. Jacyś ludzie roznoszą pliki papierów. Zatwierdzenie porządku obrad przypieczętowuje uderzenie drewnianego młotka przewodniczącego. Ktoś odczytuje list przedstawiciela Iranu z prośbą o uczestnictwo w posiedzeniu; otrzymuje je, ale bez prawa głosu.

Przy każdym fotelu na galerii słuchawki z przełącznikiem. Obrady tłumaczone są na pięć oficjalnych języków ONZ: na angielski, chiński, hiszpański, francuski i rosyjski.

Podstawowa sprawa owego granicznego incydentu została zamknięta w kilka minut przeprowadzonym głosowaniem, ale sesja trwa. Zabierają głos przedstawiciele kolejnych delegacji. Podziękowania dla przewodniczącego, drobne spory interpretacyjne, życzenia dla pogodzonych stron. Przez cały czas obrad w sali trwa nieustanny ruch. Ktoś wchodzi i wychodzi. Przynosi jakieś dokumenty, wynosi stenogramy. Po blisko półtorej godziny kapituluję i zmęczony polityką na światowym forum wychodzę na ruchliwą ulicę.

Rzymskie forum był to właśnie plac leżący najczęściej na przecięciu głównych ulic i stanowiący centralny ośrodek życia miejskiego. Tu koncentrowało się życie polityczne, religijne i gospodarcze. Tu dyskutowano, modlono się, handlowano.

Forum naszych wakacyjnych dyskusji mogło stać się każde miejsce. Używam już czasu przeszłego, bo – choć trudno w to uwierzyć – za dwa tygodnie wracamy do szkoły. Ale te kilkanaście dni też się liczy – jeszcze można spotkać się z innymi na przecięciu różnych wakacyjnych szlaków, jeszcze można rozwiązać niejeden (choć może nie graniczny) konflikt.

Może napiszecie, jakie konflikty przytrafiły się Wam tego lata i na jakim forum udało się Wam je rozwiązać.

A tych z Was bardziej zainteresowanych tajemnicami forum światowego odsyłam do świeżo wznowionej „Encyklopedii spraw międzynarodowych i ONZ", napisanej przez Edmunda Jana Osmańczyka. Tak, tę zawierającą ponad cztery tysiące haseł encyklopedię napisał jeden człowiek. W słowie od autora czytamy:

„Jedynym wytłumaczeniem, że napisałem sam jeden tę książkę jest to, że encyklopedia taka była mi potrzebna osobiście do codziennego wchłaniania wiadomości ze świata i do mej pracy zawodowej."

Życzyć każdemu takiego podejścia do... produkcji niezbędnych pomocy naukowych. I nie tylko...

Jarek

WTP'82

Możesz zrobić własnoręcznie!

SZACHY PRAWIE Z NICZEGO

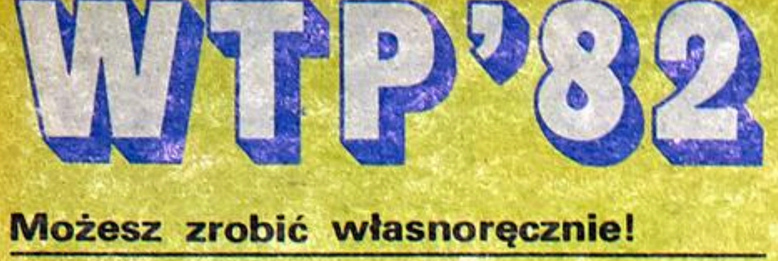

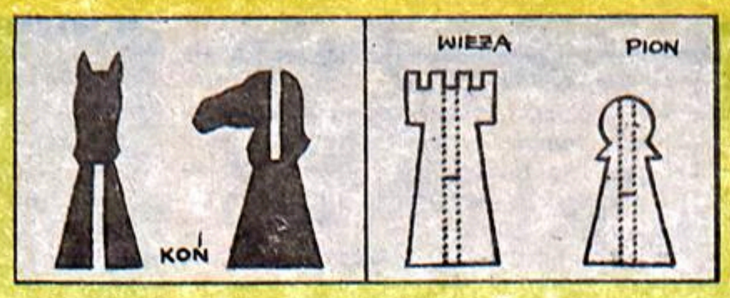

Każdy, kto chce uzupełnić swoją letnią „grotekę", może z łatwością wykonać szachy. Podajemy na rysunku sposoby złożenia i sklejenia poszczególnych szachowych figur. Wielkość ich może być dowolna, w zależności od potrzeb – od takich małych jak na rysunku, do maxi-szachów sięgających człowiekowi do pasa, którymi rozgrywa się partie np. na płytach chodnikowych. Mniejsze będziemy wycinać z tektury i cienkiej sklejki, większe – ze sklejki grubości ponad 10 mm, z „wiórówki" lub zwykłej deski. Przypominamy, że dla każdej z szachowych stron w grze przygotowuje się osiem figur i osiem pionów jednego koloru. Figury – to król, hetman (zwany też królową), dwie wieże, dwa gońce (laufry), dwa skoczki (konie). Tajemnica budowania naszych figur wytłumaczona jest na przykładzie króla. W dwu płaszczyznach figury wycięte są rowki, w które wsuwa się obie płaszczyzny. Klej – zależny od materiału; do tektury wystarczy lepkol, do materiałów drewnianych – potrzebny będzie wikol. Po wyschnięciu i starannym wyczyszczeniu figur drobnym papierem ściernym, malujemy figury lakierem (jeden komplet czarnym, drugi – białym).

Dużymi figurami można rozgrywać partie na ziemi, na piasku, betonie, zaznaczywszy uprzednio szachownicę (8×8 pól).

HOROSKOP POD SŁOŃCEM

Planety zapewniają pomyślność przez następne dwa dni tym, którzy lubią porządek. Dotyczy to również spraw ducha. Po wekendowych szaleństwach korzystnie byłoby zająć się czymś poważniejszym, np. grami towarzyskimi i umysłowymi, kompletowaniem staroci itp. Układ znaków na niebie daje Ci szansę potwierdzenia Twoich talentów organizatorskich. Jest także okazja, byś błysnął umiejętnościami manualnymi. W najbliższym czasie sprzyjać Ci będą dwa żywioły: woda i wiatr, co stworzy Ci okazję do przeżycia nowej, ciekawej przygody. Uszy do góry!

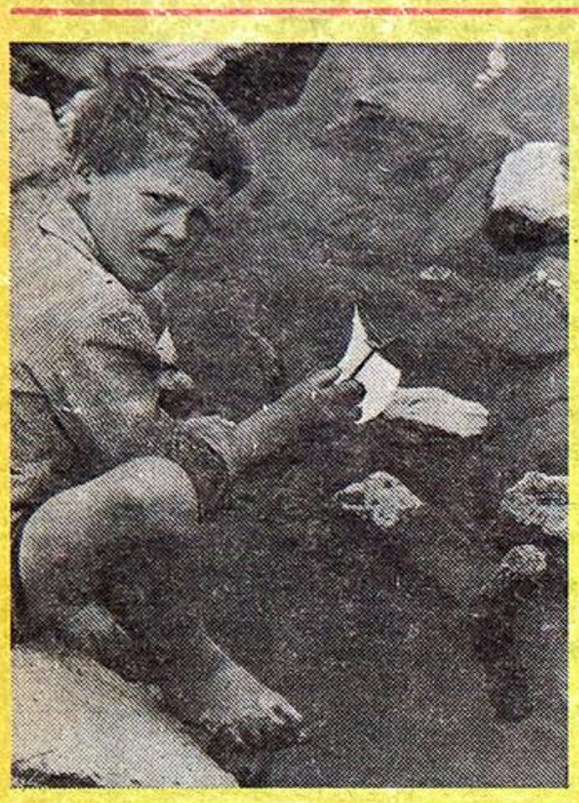

Stop! Wytrzymałeś do dziś bez modelu łódki, którą mógłbyś popłynąć w najdalszy rejs po wszystkich bajkowych morzach i oceanach świata – poczekaj jeszcze trzy dni. Bowiem już w najbliższym numerze „ŚM" – rewelacyjne plany uniwersalnej, genialnej, fenomenalnej, samobieżnej i samoobsługowej polinezyjskiej tratwy!

Fot. **J. Dąbrowski**

Zabytki wiejskiej techniki

ULE

Gall Anonim pisał, że Polska jest krajem bogatym w las miodopłynny, obfitujący w miód. Rzeczywiście, miodu było wtedy pod dostatkiem. Pod koniec średniowiecza hodowano pszczoły nie tylko w leśnych barciach, lecz także w pasiekach. Powstały też wtedy pierwsze ule nierozbieralne, wzorowane na dziupli.

Dzisiejsze rozbieralne ule ramowe – z ramami do osadzania plastrów woskowych – umożliwiają dostęp do wnętrza w celu wymiany plastrów. Pierwszy ul takiego typu wynalazł F. Huber w 1784 r. W ulepszaniu konstrukcji uli mają udział Polacy, z ks. Janem Dzierżoniem na czele.

Zależnie od konstrukcji rozróżnia się ule stojaki (rozbudowywane w górę) i leżaki (rozbudowywane w bok). Najczęściej spotyka się teraz ule dadany, warszawskie i wielkopolskie, lecz także słowiańskie (na południu) i warszawskie zwykłe. Bardzo rzadko można zobaczyć ule nierozbieralne, jak np. koszkę – ul wykonany na drewnianej podstawie ze słomianego warkocza, lub kłodę – ciężki ul z wydrążonego, okorowanego pnia

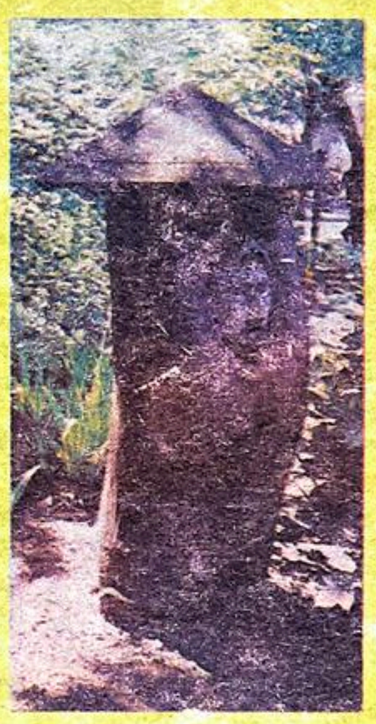

drzewnego, często rzeźbiony, taki jak na zdjęciu.

Jeśli na trasie Waszych wycieczek znajdzie się pasieka lub pojedynczy ul o kształcie innym, niż pudełko czy skrzynka, napiszcie do nas, nie zapominając o adresie, fotografii lub rysunku. **KG** Fot. **J. Dąbrowski**

WĘDRUJĄCA SZUFLADA

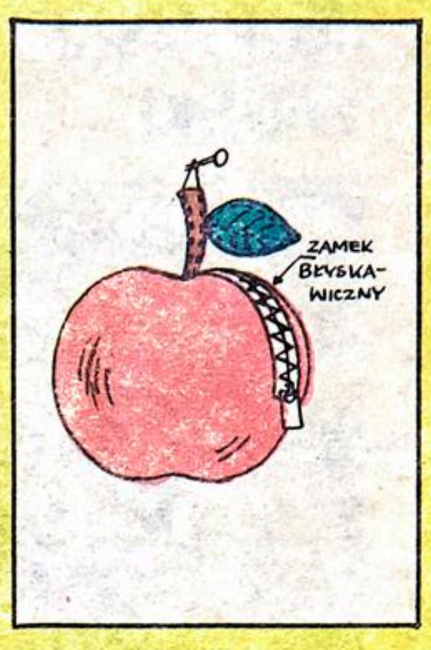

Drobniejsze części garderoby stanowią w niektórych szafach główny element bałaganu. Skarpetki, pończochy czy chusteczki do nosa, niby ułożone na swoim miejscu, tworzą jednak wrażenie nieładu. Można sobie z tym poradzić w bardzo prosty sposób, szyjąc saszetki, w których skarpetki i pończochy znajdą swoje stałe miejsce. Kształt saszetki zależy od fantazji twórcy: może być prostokątna, okrągła albo w kształcie np. jabłka. Materiał, którego użyjemy powinien być odpowiednio sztywny. Jeśli macie tylko cienki materiał usztywnijcie go składając we dwoje i stebnując. Z tak przygotowanego materiału wycinamy dwa, np. prostokąty czy jabłka, składamy je razem i zeszywamy, zostawiając miejsce na wszycie zamka błyskawicznego. Powinien być na tyle długi, żeby wyjęcie skarpetek czy chusteczki nie sprawiało trudności. Szwy oczywiście chowamy do środka. Takie saszetki wieszamy na wewnętrznej stronie drzwi szafy, dlatego trzeba jeszcze pomyśleć o elemencie do zawieszenia. Ale można powiesić na ścianie wieszaczek, albo wbić w nią parę gwoździ, a na nich umieścić ładne, fantazyjne pojemniczki spełniające rolę szuflady. Jeśli będziecie szyć jabłko, to radzimy szydełkiem z zielonej włóczki dorobić szypułkę i listek. Szypułka będzie spełniała rolę pętelki a listek będzie ku ozdobie.

SUSZYMY OWOCE (c.d.)

Śliwki

Najlepsze najdojrzalsze, zdrowe popękane ze słodyczy, z pomarszczoną skórką. Odcinamy ogonki, owoce zanurzamy we wrzątku na minutę i chłodzimy w zimnej wodzie. Do wrzątku dobrze jest dodać trochę oczyszczonej sody (1,5 g na 1 litr wody). Osączone owoce układamy w jedną warstwę na lassach i początkowo suszymy w piecu lub piekarniku w temperaturze 40–45°C, po 3–4 godzinach przerywamy suszenie i trzymamy na lassach w pokojowej temperaturze 4–6 godzin. Następnie suszymy w temperaturze ok. 60°C. Po 4–5 godzinach znów przerywamy suszenie na kilka godzin. Ostatni cykl suszenia przeprowadzamy w temperaturze do 80°C, przez 16 godzin. Owoce przechowujemy w woreczkach.

Skórki z jabłek i łodygi malin

Też suszymy! Nie wyrzucajmy skórek z jabłek. Z kruszonych można przyrządzić smakowity napój i pić go zamiast herbaty. Skórki z jabłek (umytych) rozkładamy na blasze wyłożonej papierem i suszymy na płycie kuchennej lub w piekarniku. Wysuszone można przyrumienić, dzięki temu napój będzie miał piękny kolor. Skórki przechowujemy w szczelnie zamkniętych słojach.

Zdrewniałe łodygi malin wycinamy na jesieni, w bezdeszczowy dzień. Wiążemy w pęczki, suszymy w przewiewnym miejscu oraz tamże je przechowujemy (na strychu, ganku, balkonie). Sporządzamy z nich napój, lub dodajemy jako dodatek do innego suszu.

Owoce róży

Do suszenia nadają się dojrzałe owoce róży polnej i ogrodowej. Owoce obieramy z szypułek, myjemy, ostrym nierdzewnym nożem przekrawamy na pół, usuwamy pestki i włoski, po czym płuczemy. Suszymy w piecykach i na sitach ustawionych nad kuchnią. (Temperatura nie powinna przekraczać 50°C, gdyż dzięki temu owoce zachowują więcej witaminy C).

Dobrze wysuszone owoce łamią się w palcach, przechowujemy je w szczelnie zamkniętych słojach.

Z suszu owoców róży, bogatej w witaminę C, można sporządzić zimą znakomity napój. Na 1 dkg suszu bierzemy pół szklanki wody i trochę cukru do smaku. Susz kruszymy, zalewamy ciepłą, przegotowaną wodą i pozostawiamy na około sześć godzin w temperaturze pokojowej. Cedzimy przez gęste sito lub gazę i słodzimy. Napój ten zapewnia np. dzienne zapotrzebowanie na witaminę C dzieciom do 3 lat.

PIĘŚĆ I MONETA

Zwińcie rękę w pięść i połóżcie na niej monetę. Szybko opuszczając rękę w dół, rozewrzyjcie pięść i złapcie monetę. Wykonajcie to nie podrzucając monety do góry i nie pomagając sobie drugą ręką.

BIEG Z PRZESZKODAMI

Na boisku, na dwóch równoległych liniach prostych lub krzywych (w kształcie łuków) długości 150–200 m, w odległości 4–5 m jedna od drugiej, ustawia się dwa rzędy jednakowych przeszkód. Całą trasę biegu dzieli się na 6–10 odcinków. Na każdym odcinku grający mają do pokonania jakąś przeszkodę. Wszyscy uczestnicy gry dzielą się na dwie drużyny i przystępują do walki parami. Druga para może rozpocząć bieg dopiero wtedy, gdy pierwsza go ukończyła. Uczestnik, który szybciej od swego współzawodnika przybędzie na metę (pokonując wszystkie przeszkody) zdobywa dla swojej drużyny jeden punkt. Rozmieszczone na trasie biegu przeszkody należy pokonać w taki oto sposób. 1. Przebiec od linii startowej 25 kroków i przeskoczyć przez sznurek zawieszony na stojakach, na wysokości 70–90 cm. 2. W odległości 10 kroków od stojaków wziąć kijek, postawić go prostopadle do dłoni prawej ręki i balansując nim przebiec 20 kroków. 3. Przetoczyć na odległość 30 kroków piłkę siatkową, popychając ją laską. 4. Rzucić z nogi kijek do przodu w kierunku chorągiewki i przebiec w ślad za nim, następnie podnieść go z ziemi i przejść tyłem pozostałą odległość do chorągiewki, nie oglądając się poza siebie. 5. Przejść 15 kroków po ścieżce szerokości 20 cm między dwiema grządkami piasku nie naruszając ich (zawodnik, który wejdzie na grządkę, nie ma prawa iść dalej, zanim nie usunie swego śladu na piasku). 6. Wleźć do worka i przytrzymując jego brzegi na wysokości pasa przebiec 30 kroków. 7. Przejść 50 kroków do mety na szczudłach. Druga para współzawodników rozpoczyna bieg od mety do startu i pokonuje przeszkody w odwrotnej kolejności. Można też zastosować inne przeszkody. Wybór ich zależy od pomysłowości organizatora zawodów.

Zabawy naszych pradziadków

KLAPKA

Przedmiot ten musiał w początkach naszego wieku być dość popularny, gdyż przeczytałem, iż *„jest to zabawka dobrze znana uczniom"*. Robiono ją z krążka namoczonej skóry, do środka której przymocowywano sznurek. Taki krążek *„przyłożony do kamienia, przyciska się nogą. Jeśli teraz pociągnąć sznurek, krążek tworzy bańkę i trzeba znacznego wysiłku aby oderwać go od kamienia"*.

Opis uzupełniony jest uwagą, by krążek wyciąć ze skóry grubej – zatrzymuje dobrze wilgoć – i tak przymocować sznurek, aby owa „bańka" była szczelna. Prawdę mówiąc, nie mam zielonego pojęcia jak to zrobić... **(jd)**

Jest takie muzeum

ZOBACZYCIE TAM WSZYSTKO!

Nie muzeum to właściwie, a punkt muzealny, otwarty w Kosowie Lackim wiosną 74 roku w budynku mieszkalnym o powierzchni 40 m kw. Jego gospodarzami są Leontyna i Józef Maleszewscy, którzy z godną podziwu wytrwałością zgromadzili mnóstwo wspaniałych eksponatów, dokumentujących bogatą przeszłość regionu siedleckiego. Obok zabytków archeologicznych – toporków i skorupek ceramicznych znalezionych w okolicy; etnograficznych – maglownic, maślnic, nożyc do strzyżenia owiec, czy przyrodniczych – wypchanych ptaków, muszli, hub i poroży, arcyciekawe zbiory historyczne. Nie powstydziłoby się nimi żadne przyzwoite muzeum. Czegóż tam nie ma! I ryngraf z okresu insurekcji kościuszkowskiej, i ładownica z powstania listopadowego, i rewolwery bębenkowe powstańców 1863 roku, i militaria z okresu I i II wojny światowej: bagnety, szable, hełmy, pociski, maski p/gazowe... Całości dopełnia wspaniała kolekcja kilkudziesięciu orłów z różnych epok i formacji wojskowych, z czego 53 wyhaftowała według starych wzorów pani Leontyna Maleszewska, kilka wytłaczanych w metalu zrobił jej mąż, a pozostałe, to oryginalne orzełki wojskowe.

Jeśli więc przypadkiem będzie Wam Kosów Lacki po drodze, wpadnijcie na ul. Polną 3, by obejrzeć zgromadzone przez państwa Maleszewskich zbiory.. **(tem)**

Będzie to historia smutna, z gatunku tych, do których choćby się ktoś i najbardziej starał, nie potrafi dopisać optymistycznego zakończenia. Już jest na wszystko za późno...

NARODZINY, WIELKOŚĆ I UPADEK INDIAŃSKIEJ WIOSKI

Jej narodzinom towarzyszyła z jednej strony nieufność, niechęć i upatrywanie we wszystkim przeszkód – równoważona z drugiej strony zapałem i uporem w pokonywaniu niezliczonych trudności. Po raz pierwszy zobaczyłem ją w 1976 roku, kiedy była na ukończeniu. Wszystko tam wtedy błyszczało lakierem położonym na bale z surowego drewna. Zbudowana w centrum Osiedla 1000-lecia w Nowym Sączu, miała w zamyśle twórców służyć dzieciom z okolicznych bloków. I rzeczywiście, odwiedzano ją wówczas tłumnie, przyjeżdżały nawet wycieczki fachowców z innych miast, aby ją obejrzeć i czegoś się nauczyć, a maluchy i nastolatki szalały na urządzeniach do zabaw. Wszystko więc było cacy, jeśli nie liczyć sporej grupy malkontentów przepowiadających, że lada moment użytkownicy zaczną tu łamać nogi i ręce, a w ogóle to lepiej było zrobić boisko do gry w piłkę. Ale gdzież na tym najlepszym ze światów jest takie miejsce, w którym wszyscy byliby zadowoleni... Więc mimo mamrotania po kątach wiecznych krytykantów indiańska wioska, zwana często „Sądeckim Biskupinem", miała ogromne powodzenie.

Ale równocześnie niepostrzeżenie, z dnia na dzień, zaczęło się z nią dziać coś, co choć znane z innych dziedzin życia, nie zapowiadało jednak tego wszystkiego co nieuchronnie miało przyjść później. Ot, na początek trochę nieporządku, jakieś drobne uchybienie tu i ówdzie, niewielka niedoróbka...

Najpierw – jeszcze przed ostatecznym oddaniem do użytku kompletu wszystkich urządzeń – na ścieżce zdrowia ktoś pourywał ciężary służące do treningów siłowych; przy sposobności obcięto i ukradziono stalowe linki, na których były one umocowane. W tym samym mniej więcej czasie podziemny labirynt został już tak zapaskudzony, że właściwie wszyscy byli zdania, iż należy go jak najszybciej zasypać.

Po pewnym czasie – solidnie wyglądające karuzele i huśtawki (z rzeźbionymi siodełkami w kształcie baranich łbów) zaczęły się najzwyczajniej... rozpadać. Obcięto i ukradziono grube konopne liny do wspinania (te, które widzicie na zdjęciu, zdążyłem jeszcze pod koniec lata 1976 roku sfotografować. Kilka miesięcy później już ich nie było). Bariery na pomostach – mimo iż ciosane z grubych żerdzi – okazały się za mało odporne, jak na możliwości użytkowników. Coraz częściej trzeba było połamane, wymieniać. W piętrowej strażnicy na palach uwiła sobie gniazdko miejscowa łobuzeria. Co noc prawie odbywały się tam libacje, po których szkło z rozbitych butelek coraz częściej zaścielało placyki, ścieżki, piaskownice. Podobno nikt nie mógł na to nic poradzić...

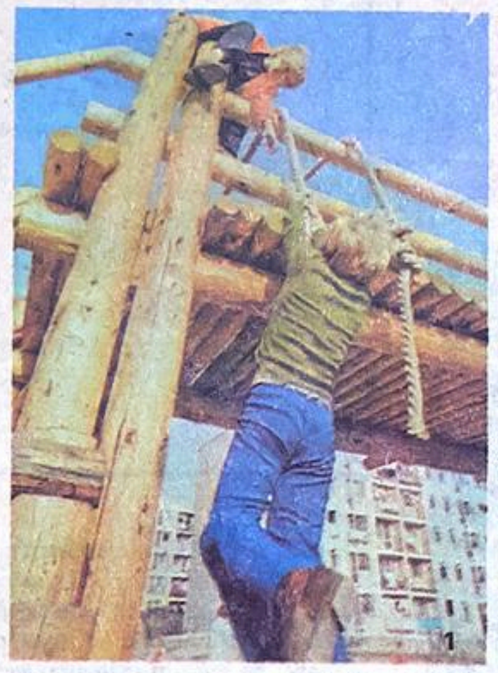

Wreszcie – przyszło najgorsze. W ubiegłym roku grube bale tworzące palisadę, labirynty, obrzeża piaskownic, słupy totemowe – zaczęły się łamać jak zapałki. Źle zaimpregnowane, choć z wierzchu pięknie polakierowane, w zastraszająco szybkim tempie uległy chorobotwórczym grzybom, zmieniającym drewno w próchno. Tandetnie wybetonowany brodzik cały spękał. Oczywiście w tej sytuacji nikt już nie miał odwagi nawet wspomnieć o tym, by – jak to kiedyś projektowano – usytuować na środku piaskownicę z prowadzącymi do niej mostkami.

Ostateczna zagłada – dokonała się wczesną wiosną bieżącego roku. Cała wioska została rozebrana, teren zniwelowano. Śladu nie pozostało po długiej na kilkaset metrów palisadzie, wozach „z Dzikiego Zachodu", „Saloonach", „labiryntach ze słupków, pomostach, kolorowych totemach, przeplotniach, karuzelach, huśtawkach, równoważniach, strażnicach, pięknej drewnianej bramie, jak w najprawdziwszym Biskupinie...

Mieszkańcy osiedla zagadywani przeze mnie pod koniec czerwca br. na okoliczność likwidacji tego najpiękniejszego niegdyś w Polsce osiedlowego placu zabaw – mówią, jeden przez drugiego, o setkach tysięcy złotych, jakie trzeba by co roku ładować w tę ruinę. Oczywiście pieniądze miały pochodzić z podwyższonych czynszów lokatorów mieszkających na tym osiedlu. Ponieważ ludzie oświadczyli, że nie zgadzają się na to, zapadła decyzja o rozbiórce. Jeszcze jedna, efektownie i z wielkim szumem zaprojektowana inwestycja pożarła kilka milionów i w rezultacie okazała się olbrzymem na glinianych nogach. Pomysłowość i zapał projektanta, setki metrów sześciennych najpiękniejszego drewna, wysiłek cieśli i rzeźbiarzy – unicestwił najzwyczajniejszy grzyb wspomagany przez nieodpowiedzialność ludzką.

4. Tak wyglądają w tej chwili, ostatnie już resztki dawnej świetności. Grzyb zjadł nawet krótkie słupki okalające niegdyś piaskownice

Teraz ci, którzy od samego początku twierdzili, że ta cała wioska to ekstrawagancki pomysł i długo się nie utrzyma – mogą wreszcie spać spokojnie. Ich przepowiednie się sprawdziły.

Przyszedł walec i wyrównał...

Tekst i zdjęcia
JERZY DĄBROWSKI

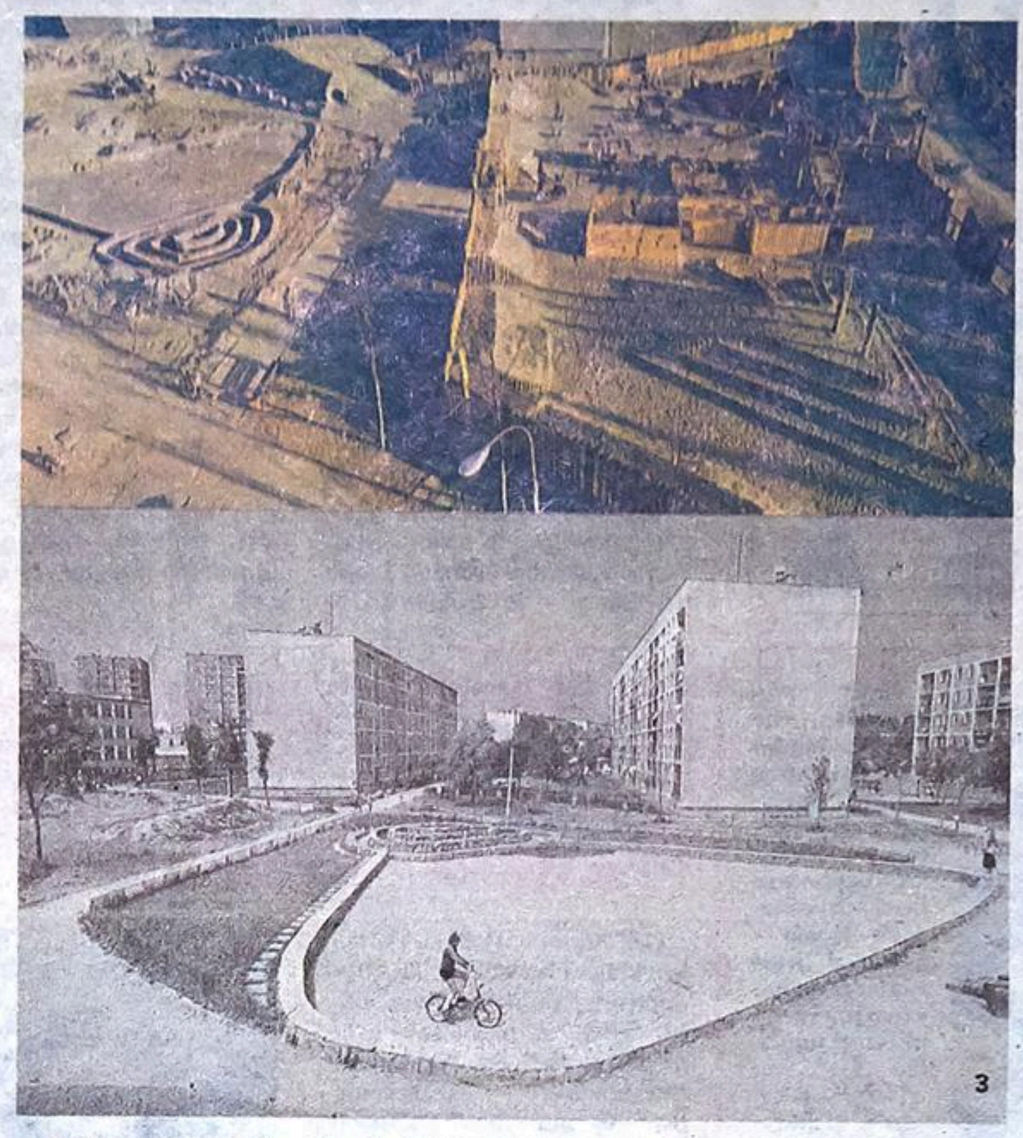

1. Wszystkie urządzenia indiańskiej wioski, o której piszemy obok, zbudowane były z pięknych sosnowych i świerkowych bali. Na zdjęciu – fragment jednego z pomostów z linami do wspinania się

2. Cała wioska tuż przed ukończeniem. Jest lato 1976 roku. Już teraz widać, że będzie to najpiękniejszy tego rodzaju plac zabaw w Polsce

3. Rok 1982, lato. Oto wszystko, co pozostało ze sławnej indiańskiej wioski – spękany, pusty brodzik...

A jak wygląda plac zabaw na waszym osiedlu? Mam nadzieję, że przykład nowosądeckiej wioski indiańskiej należy do odosobnionych, i gdzie indziej jest lepiej. Czekamy na listy w tej sprawie!

NA GENIUSZA PRZEZNACZONY

Maciek ma 4 lata. Matka odkrywa(!) w nim talent. Zapada autorytatywna decyzja: Maciek będzie malarzem! Następują poszukiwania najlepszego w mieście – a miasto jest wielkie – kółka plastycznego. Żeby broń Boże nie w „byle jakim" osiedlowym klubie, „bo się dzieciaka zmarnuje". Musi się nim zająć artysta plastyk z prawdziwego zdarzenia. Znajduje się wreszcie dom kultury i odpowiedni opiekun dla przyszłego malarza. Że trzeba go tam wozić dwa razy w tygodniu przez całe miasto? Że na dodatek rodzice pracują w zupełnie innej dzielnicy? Drobiazg! Czegoż się nie zrobi dla ukochanego syna!

Maciek uczęszcza sumiennie na zajęcia kółka. Rysuje i maluje po dwie godziny pod okiem Pana, gotowego zawsze poprawić to, co, jego zdaniem, nie jest jak należy. Pan zaczyna wysyłać jego rysunki najpierw na konkursy krajowe. Są nagrody! Więc na międzynarodowe. We wszystkie strony świata. Znów sukcesy! Mały artysta jeszcze nie zdążył pójść do szkoły, a już dostaje pierwszy medal z zagranicy. Po nim nadchodzą inne.

Maciek po 11 latach sukcesów: *Zupełnie nie potrafię powiedzieć, za jakie rysunki dostawałem nagrody. Rocznie jest kilkanaście konkursów i trudno pamiętać, co się wysyła do Indii, co do NRD czy Czechosłowacji, a co jeszcze gdzie indziej. Zresztą na ogół nie wiedziałem nawet, które rysunki Pan wysyła.*

Rodzice Maćka: *To prawda, że nie miał dzieciństwa jak inni, bo nie było już czasu na nic więcej poza lekcjami i rysowaniem. Czasem zamiast dwa razy w tygodniu, i cztery razy do Pana się go woziło, bo akurat dużo konkursów się szykowało. Ale jak się to opłaciło! Mogliśmy być dumni, bo nie było konkursu międzynarodowego, na który by Pan nie wysłał jego rysunku. I dostawaliśmy nagrody, wyróżnienia, czytaliśmy o Maćku w gazetach. Więc jak mu się nawet co innego w głowie rodziło, prędko go od tego odciągaliśmy. Zresztą było już za późno, żeby namawiać albo pozwalać na co innego.*

W ósmej klasie przychodzi najbardziej znacząca pierwsza nagroda w wielkim międzynarodowym konkursie rysunków dziecięcych. Teraz jest już jasne, zarówno dla rodziców, jak i dla samego Maćka, że nie może być mowy o żadnej innej szkole średniej, jak o liceum sztuk plastycznych. 150 kandydatów na 30 miejsc w pierwszej klasie. Matka wędruje do szkoły z całą paką dyplomów i wyróżnień, wycinków z gazet. Maciej zostaje przyjęty.

Na początku klasa nic nie wie o dotychczasowych osiągnięciach kolegi. Widzą tylko, że jest trochę od nich lepszy w rysowaniu. Ale po miesiącu, kiedy roznosi się fama, że mają wśród siebie mistrza, okazuje się, że już niczym się on nie wyróżnia. Może był tak miły, że czekał aż go dogonimy? – zastanawiają się. Tyle że chyba czekał za długo, bo już wielu go przegoniło.

To wszystko historia. A teraźniejszość?

Nauczycielka rysunku: *Ostro powiem, ale prawdziwie. To prymityw przekonany, że jest cudem. Przyznać trzeba, że ma dużo dobrych chęci, ale ma też... ogromne braki intelektualne. Obawiam się, że zarówno pole jego zainteresowań, jak i w ogóle pole widzenia zawężyły mu, niestety, właśnie konkursy. Nic, tylko w kółko szkoła, obiad, zajęcia plastyczne, dom, rysowanie, lekcje – czas organizowany przez rodziców, którzy chcieli go ugenialnić na siłę. A przecież żeby człowiek mógł powiedzieć: „to jest ta jedna, jedyna wymarzona dla mnie dziedzina!" powinien już od dziecka rozwijać się intelektualnie we wszystkich kierunkach. I w naszej szkole nie wystarczy jedynie sprawna ręka, trzeba też mieć rozum. Stąd dla Maćka, odstającego od swych rówieśników in minus, jedyną szansą jest teraz wyjątkowa pracowitość. Tylko jakiegoż wielkiego hartu ducha na to potrzeba! Słowem i rodzice, i konkursy z nagrodami zrobiły mu krzywdę.*

Kolega z klasy: *Jeśli człowiek ma silny charakter, to go żadne konkursy nie zepsują. Nagroda jest potwierdzeniem, że to, co się zrobiło w danym momencie, zrobiło się dobrze. Ale niczym więcej! Nie wyobrażam sobie, że można osiąść spokojnie na laurach. Szczególnie w naszym wieku.*

Nauczyciel rzeźby: *W normalnych warunkach młody twórca przeżywa swój pierwszy kryzys: przejście od twórczości intuicyjnej, dziecięcej, do twórczości świadomej. Maćkowi dodatkowo zaszkodziło stałe powracanie do sukcesów z przeszłości, do nagród, przypominanie o nich przez rodziców, przez prasę, także niejednokrotnie tu w szkole. A wszakże nagrody to względna sprawa. Maciek, jako twórca w gruncie rzeczy zupełnie przeciętny, świetnie dawał się prowadzić swojemu instruktorowi. Ale w procesie tym zabrakło... dojrzewania do samodzielności. I teraz chłopak nie potrafi sprostać naszym wymaganiom – tworzenia prac coraz bardziej koncepcyjnie dojrzałych. A i z techniką nie jest u niego najlepiej...*

Nauczyciel metaloplastyki: *Wszelkie kółka i kółeczka kształcą dobrych amatorów. Tymczasem u nas przyjemność staje się obowiązkiem. Maciek idąc do naszej szkoły nie zdawał sobie chyba sprawy, że przygotowujemy tutaj przede wszystkim do wykonywania zawodu, co w praktyce oznacza często realizowanie pomysłów innych. Uczniowie nie tylko rysują tu, rzeźbią czy malują, ale zdobywają ogólną wiedzę teoretyczną, wiadomości warsztatowe, znajomość technologii. Maciek cały czas drepcze w miejscu, nie widać u niego rozwoju. Sam już zresztą zauważył, że są w klasie dużo lepsi od niego i zaczyna mieć stresy.*

Maciek: *Teraz trwam w niepewności. Wiem, że jestem na innym etapie niż reszta, ale nie wiem, czy dalej czy bliżej. Nauczyciele też chyba nie wiedzą, na co mnie stać, co potrafię. Tutaj oceniają postęp, a nie umiejętności. A że ja dużo umiem, postępu na razie nie robię. I dostaję czwórkę, podczas kiedy inni, słabsi, ale podobno „idący do przodu", dostają piątkę. Czy to jest sprawiedliwe?!*

Matka: *On jest zawiedziony, pokrzywdzony, bo wie, że jest lepszy od reszty uczniów, a nauczyciele niżej go oceniają. Chcą go tu chyba zniszczyć, żeby potem niby nauczyć od podstaw i chwalić się, że to ich zasługa.*

Ojciec: *A jeszcze na dodatek mają do nas pretensję, że matka trzyma go „pod fartuszkiem", że nie ma żadnych obowiązków, że herbaty rodzicom w życiu nie podał, że nie umie nawet trzymać młotka w ręku. A gdzie on miał się tego nauczyć i po co?! Ja tu w domu wszystko sam zrobię. On był do czego innego przeznaczony!*

EWA KOSIŃSKA

NA „SŁONECZNEJ" BINDUDZE

Tekst i zdjęcia:
WOJCIECH WRÓBLEWSKI

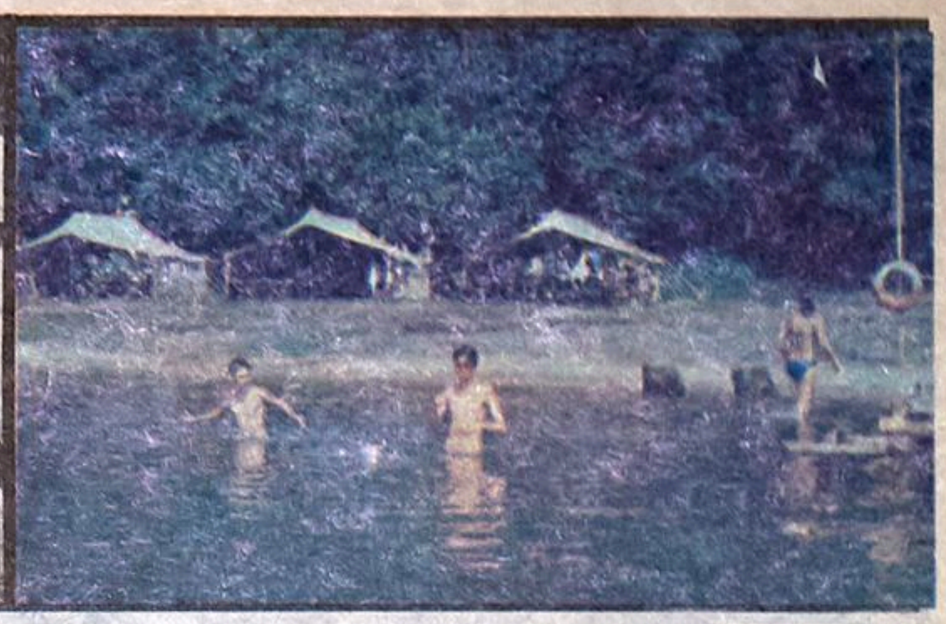

Nad jeziorem Bełdany na bindudze (miejsce gdzie spławia się ścięte pnie drzew do wody) zwanej „Słoneczną" rozbił swoje namioty 66 Szczep Warszawskich Drużyn Wodnych Harcerzy i Zuchów „Mazury".

Odwiedziliśmy ich w połowie lipca. Pogoda była piękna i wszystkim dopisywały humory. Tylko druh komendant **Zbyszek Chmielewski** narzekał na brak wiatru, co rozkładało mu cały precyzyjnie przygotowany plan szkolenia żeglarskiego.

Warto było odwiedzić harcerzy, cały obóz zorganizowany wzorowo, czysto, funkcjonalnie i pomysłowo.

Mieszkamy w namiotach i korzystamy ze sprzętu obozowego, który jest naszą własnością. Zrezygnowaliśmy z jakiejkolwiek pomocy (kucharka, intendent, kierowca itp.) – mówi pani **Krystyna Kwaczek** – która od 25 lat opiekuje się szczepem, a od 8 jeździ z harcerzami na obozy – wszystko robimy sami. To pozwoliło nam obniżyć koszt utrzymania przez 26 dni obozu i 12 dni „kwaterki" do 7 tys. zł na osobę. Proszę spojrzeć jak się rządzimy – mówi – pokazując magazyn, gdzie wszystko jest na ogólnym widoku i pięknie poukładane. A te jamy w ziemi, w których stoją kotły przykryte muślinem, to nasze lodówki, sprawdzają się znakomicie. Mleko kupujemy w gospodarstwie PAN w Popielnie. Jest tak tłuste, że śmietany mamy pod dostatkiem do wszystkiego. Robimy z niego również ser biały i twaróg. Dostaliśmy przydział mięsa. Tak, że nikt nie narzeka na jedzenie.

Żegnamy się serdecznie, do zobaczenia za rok. Warto podobne formy samodzielnego obozowania bardziej rozpowszechnić w naszej organizacji.

MARYLA RODOWICZ:
PIOSENKARSTWO TO TAKI NIEMĘSKI ZAWÓD...

– Pierwsze Pani publiczne pojawienie się na estradzie i pierwszy sukces – to zwycięstwo w Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie. Od tamtej pory minęło 15 lat. Jakie one były?

– Było to wspaniałych 15 lat. Brzmi to bardzo banalnie, ale nie potrafię jednym słowem inaczej określić zmian, które w moim życiu wprowadziła piosenka. Ale właśnie zawód piosenkarki umożliwił mi stały kontakt z muzyką, z ludźmi, którzy ją tworzą i z ludźmi, dla których śpiewam. Kontakty zawiązane dzięki piosence wyrażają się m.in. w setkach listów, czasami nawet bardzo prywatnych, intymnych. Oczywiście, większość korespondencji to prośby o poradę jak zostać piosenkarzem.

– I co Pani odpowiada?

– Że wystartować w Polsce jest bardzo łatwo. Organizuje się mnóstwo rozmaitych konkursów, przeglądów, festiwali na których można na siebie zwrócić uwagę. Trzeba jednak pamiętać, że piosenka jest u nas zjawiskiem sezonowym, nietrwałym, kwestią chwilowej mody. Taki jest też zawód piosenkarza i jeśli nie weźmie się on od samego początku do ostrej pracy nad sobą, przypomina motyla.

– Jak Pani to robi, że jest „motylem wielu sezonów"?

– Może polega to na tym, że zawsze starałam się wymyśleć dla siebie jakąś interesującą formę estradową, realizować własne, a nie narzucone lub kopiowane pomysły. Stale też walczę o repertuar, siedząc na głowie autorom tekstu i kompozytorom, wręcz zmuszając ich do pisania. Obie części składowe piosenki, a więc muzyka i tekst są jednakowo dla mnie ważne. Jestem bardzo wrażliwa na słowo i staram się dbać o poziom literacki tekstów. Piosenką zawsze staram się coś przekazać; to „coś" trudno nazwać – mogą to być małe prawdy, małe sprawy, ale istotne dlatego, że – jak sądzę – dotyczą wielu ludzi.

– Ile ma Pani w swoim dorobku płyt i piosenek?

– 10 płyt długogrających, a piosenek około 200.

– Czy potrafiłaby teraz Pani każdą z nich zaśpiewać?

– Zdecydowaną większość tak, choć są i takie, których nie pamiętam. Wszystkie natomiast są mi bliskie, bowiem w całości składają się na mój obraz, stanowią moje widzenie świata.

– Nagrywała i śpiewała Pani również za granicą.

– Mile wspominam współpracę z Czechami, którzy mają fonografię na bardzo wysokim poziomie. Nagrywałam też w wytwórniach NRD, co sprawiło mi dużo kłopotów, bowiem cały repertuar musiałam śpiewać po niemiecku. Dzięki występom za granicą, miałam okazję porównywania publiczności z wielu krajów. Najbardziej wrażliwa jest publiczność rosyjska. Np. podczas mojego występu w Moskwie, w hali sportowej na Łużnikach 12-tysięczna widownia reagowała spontanicznie, a po wysłuchaniu w skupieniu ballady Wysockiego wielu ludzi płakało. Wspaniała jest też publiczność kubańska. Byłam w tym pięknym kraju kilkakrotnie. Kubańczycy reagują na śpiew bardzo emocjonalnie, muzyka to ich żywioł.

– Przygotowywała też Pani płytę na Zachodzie...

– To moja ogromna porażka z okresu „nidojrzałego". Po sukcesie „Jadą wozy kolorowe" oraz „Zakopane" w Opolu w 1969 r., angielski producent zaproponował mi nagranie płyty. Przygotował kampanie reklamową (w Londynie ukazały się na ścianach ogromne zdjęcia z moim wizerunkiem), konferencje prasowe, występy – słowem włożył mnóstwo wysiłku w promocję. W tym czasie ktoś bliski zaproponował mi, abyśmy pojechali na dwa tygodnie na Mazury. Wybrałam to drugie...

– Miała Pani w ciągu 15 lat występów na estradzie okresy lepsze i gorsze...

– Nie można dopuścić do tego, żeby publiczność zaczęła się nudzić. Dzieje się tak wówczas, gdy zbyt długo powtarza się tę samą formę estradową. Wtedy trzeba znaleźć nowy pomysł, nową propozycję. Pomóc w tym może nowy kompozytor. W moim przypadku byli to Jacek Mikuła i Seweryn Krajewski. Miałam też szczęście do autorki tekstów – Agnieszki Osieckiej, która jest wielostronna pod tym względem. Wystarczy choćby porównać pastiszowe „Sing-Sing", „Damą być" z dramatycznym tekstem „Wariatka tańczy". To wszystko stanowi dla mnie inspirację do „wyreżyserowania" siebie – kostiumu, scenografii. Chętnie korzystam z porad moich przyjaciół.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

Festiwalowe zdjęcie Maryli Rodowicz, choć sprzed kilku lat, wielbicieli jej talentu z pewnością nie rozczaruje... Fot. **CAF**

Dla upamiętnienia 60 rocznicy powstania Związku Polaków w Niemczech – Ministerstwo Łączności w dniu 20 lipca br. wprowadziło do obiegu pocztowego jeden okolicznościowy znaczek o wartości nominalnej 4.50 zł zaprojektowany przez artystę plastyka Stefana Małeckiego.

Związek Polaków w Niemczech został założony w roku 1922 a jego głównym celem była walka o zapewnienie ludności polskiej praw mniejszości narodowej. Związek by członkiem Światowego Związku Polaków z Zagranicy.

Na znaczku przedstawiono portrety dwóch wybitnych działaczy Związku – Stanisława Sierakowskiego (1881–1939) i księdza Bolesława Domańskiego (1872–1939) oraz znak Rodła – symbol Wisły i Krakowa wprowadzony w roku 1932 przez Związek Polaków w Niemczech jako znak łączności Nadodrza, Warmii, Mazur i Powiśla z Polską.

Omawiany znaczek wydrukowano techniką offsetową na papierze kredowanym w nakładzie 6 milionów sztuk. W dniu wprowadzenia znaczka do obiegu pocztowego w Urzędzie Pocztowym Warszawa 1 był stosowany okolicznościowy kasownik pierwszego dnia oraz były w sprzedaży ozdobne koperty (FDC), którą przedstawiamy na reprodukcji.

Dla informacji podaję, że Poczta Polska w roku 1972 z okazji 50-lecia tego Związku wydała okolicznościowy znaczek pocztowy o wartości 60 gr., który przedstawia znak Rodła oraz zarys największej polskiej rzeki – Wisły. Ponadto wydana była również okolicznościowa karta pocztowa o wartości nominalnej znaku opłaty 40 gr., który również przedstawia znak Rodła.

Uzupełnieniem tych pamiątek pocztowych są okolicznościowe kasowniki pocztowe stosowane między innymi w: Warszawie, Olsztynie, Szczytnie oraz w Opolu. Kasowniki te przedstawiają między innymi znanych działaczy Związku Polaków w Niemczech: Jana Baczewskiego oraz Michała Kajkę.

GWIAZDOZBIÓR

CO POTRAFIŁ ZROBIĆ Z WESTERNU

MARLON BRANDO

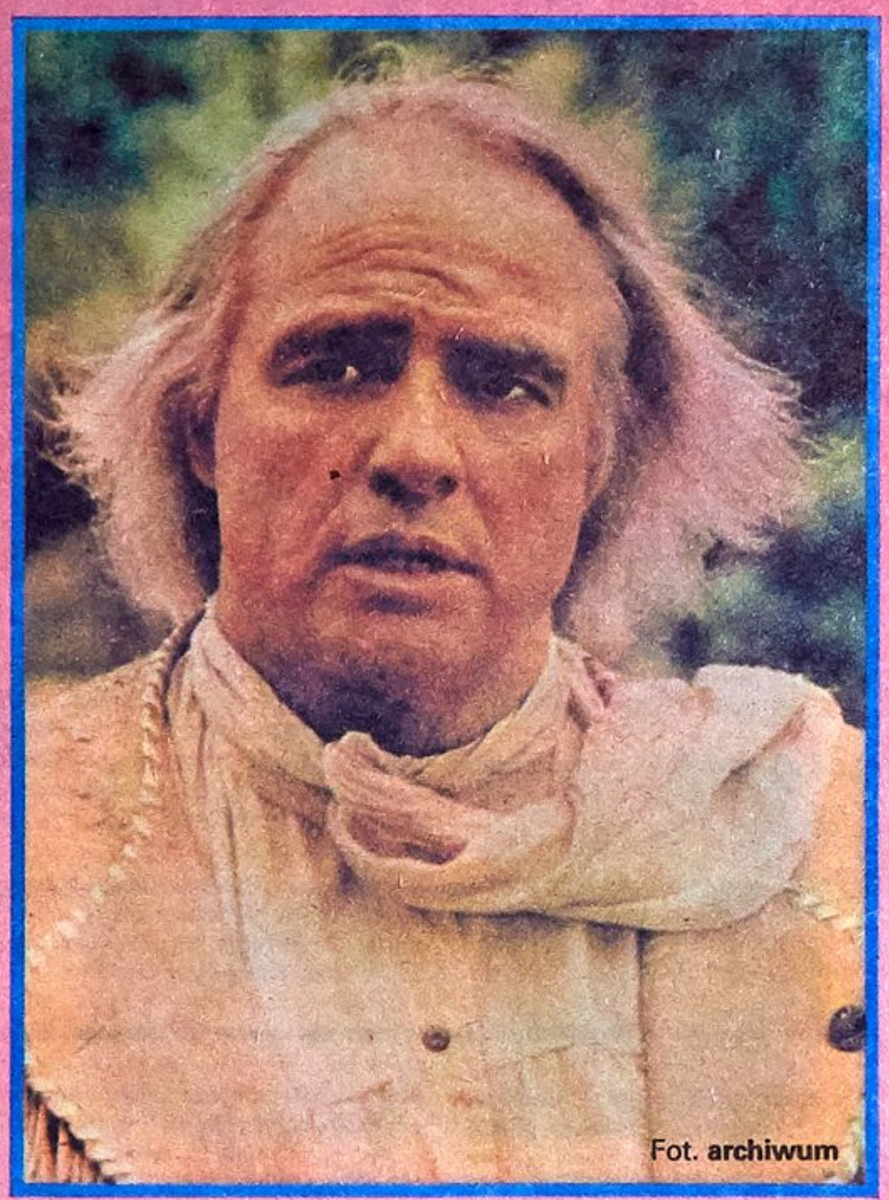

Fot. **archiwum**

W latach sześćdziesiątych powstała seria westernów a raczej antywesternów, w których twórcy postawili sobie za cel rozwianie mitów Dzikiego Zachodu, stereotypów utrwalonych właśnie przez film. Śmiercią naturalną wymarli bohaterowie będący mieszaniną dobrego i złego. Bandyta był już tylko bandytą, człowiekiem, w którym dominowały przede wszystkim złe instynkty. Powstała moda na okrucieństwo. Obficie lała się krew w technikolorze. Nie była to już jednak pochwała gwałtu, która miała miejsce w westernie powojennym. Ulubieńcy publiczności dotąd grający postacie niejednoznaczne wcielili się w typy obrzydliwe jak Henry Fonda w „Firecreck", Paul Newman w „Butch Cassidy", czy William Holden w „Dzikiej bandzie". Tendencja ta zaczęła wygasać pod koniec lat sześćdziesiątych – ale w roku 1976 powstał film, który był w pewnym sensie jej kontynuacją – „Przełomy Missouri" Arthura Penne.

Widzowie polscy mają go dość świeżo w pamięci, więc choć ma wobec westernów z lat sześćdziesiątych charakter nie tyle epigoński, co w porównaniu z nimi robi wrażenie operetki, warto na przykładzie jego bohatera Lee Claytona przyjrzeć się problemowi „czystego zła" na westernowym ekranie. Główną rolę w nim gra Marlon Brando.

Brando w żadnym wypadku nie możemy uznać za aktora westernowego. „Dwa oblicza zemsty", film w którym grał i który zarazem reżyserował były westernowym wyjątkiem w jego karierze. Powstał w 1960 roku a następny western z Brando, właśnie „Przełomy Missouri" dopiero szesnaście lat później.

Urodzony w 1924 roku Brando ukończy wyższą szkołę w Libertyville, Illinois i Akademię Wojskową Shettuck w Minnessota. Potem przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie początkowo studiował socjologię a następnie wstąpił do słynnego Actor's Studio Kazana i Strasberga. Pierwsze sukcesy, jeszcze w latach czterdziestych, odniósł na scenie. Rolę Stanleya Kowalsky'ego grał na Broadwayu aż przez sześć lat. W filmie zadebiutował w 1950 roku. Pamiętamy jego największe sukcesy. „Obławę" (1965 rok) i „Ojca Chrzestnego", za którego w 1972 roku otrzymał „Oscara" a także jego postać w „Appocalipsie", w której mówił zaledwie kilka słów a grał właściwie jedynie posągową, jakby w kamieniu rzeźbioną głową i potężną sylwetką. Jest to aktor niewątpliwie wszechstronny i niepowtarzalny.

W „Przełomach..." jest niesamowity jak tylko można – tak zresztą ponoć miało brzmieć zdanie, które wprowadza postać Claytona do scenariusza. Dziwacznie odziany „regulator", czyli zawodowy rewolwerowiec został wynajęty przez ranczera Braxtona, by wytępić bandę koniokradów i morderców grasujących w spokojnej niegdyś okolicy. Swoje dzieło przeprowadza w sposób tak metodyczny, że wybija prawie wszystkich. Robi to nawet wtedy gdy ranczer zrywa z nim kontrakt. Jest opętany manią zabijania. Uzurpuje sobie prawo „robienia porządku" na świecie w imię swoiście pojętych wyższych racji. W finale filmu sam ginie.

Kreacja Brando, dowód jego nieokiełznanego talentu robi z „Przełomów Missouri" film brutalny i antyromantyczny. W odczuciu widzów jednak taka formuła nie prowadzi do odkrycia prawdy o Dzikim Zachodzie, a do czarnego humoru parodii. Dlatego właśnie o tej niezwykłej roli w niezwykłym westernie warto pamiętać.

(eb)

DOM MODY świata młodych

Mini-moda (2) Mini-sukienka

Były szałem i przebojem 15 lat temu (polecam przegląd albumów rodzinnych!). Królowały przez lat parę, w czasie których nietaktem wręcz było chodzić w czymś, co było dłuższe niż 10 cm nad kolanem. Było to zresztą szalenie długie „mini", bo takie „prawdziwe" polegało na odsłonięciu całego niemal uda. Jedynie zdecydowanie starsze panie „pozwalały sobie" na... zakrywanie kolana. I były okropnie niemodne! Jakieś 10–11 lat temu długość spódniczek nagle i błyskawicznie się wydłużyła. Jeszcze gdzieniegdzie dziewczyny błyskały gołymi udami, ale niemal z dnia na dzień pojawiły się szaty... sięgające kostek. I jedynie zdecydowanie starsze panie pozostały przy swoich sukienkach zakrywających kolana. I były znowu okropnie niemodne! A potem tak się jakoś zrobiło, że moda starszych pań stała się powszechnie obowiązująca. Ale niezbyt długo to trwało. Gdzieś trzy lata temu zaczęły się znowu pojawiać mini-spódniczki. Najpierw jedynie na stronicach żurnali, aby w obecnym sezonie wyjść na ulicę. Nie tak oczywiście powszechnie jak 15 lat temu to się działo, ale to dlatego, że obecna moda przestała być już tak jak kiedyś rygorystyczna. Aktualnie jest modnych masę bardzo różnych, często zdecydowanie wręcz przeciwstawnych sobie rzeczy. Z tej różnorodności każdy wybiera sobie indywidualnie coś dla siebie.

Z jednej strony stan taki zapobiega monotonii (nie ma mowy o jednakowym „umundurowaniu" wszystkich), z drugiej jednak strony – nastręcza sporo kłopotów osobom niezdecydowanym, które same nie potrafią wybrać i bardzo chciałyby, żeby gdzieś było czarno na białym napisane – „tylko to, w żadnym wypadku nic innego!". Hm, obawiam się, że nieprędko je taka frajda spotka, przyjdzie chyba nauczyć się wybierać. Co radzę.

A na razie podsuwam jeden pomysł – może właśnie mini-sukienka, co?! Zdecydowanie dwa jej typy się wyróżniają. Jeden, to po prostu przedłużony podkoszulek. Na ramiączkach albo z rękawami, ale rzecz jest prosta od góry do dołu. Można nosić ją w charakterze takiej długiej prostej rury, można również przewiązać w talii paskiem (tak jak na zdjęciu to widać). Typ „podkoszulkowaty" wykonany jest na ogół z podkoszulkowatych materiałów czyli wszelkiego rodzaju dzianin. Może to być również własnoręcznie na drutach zrobiony taki... nieco przedłużony pulower.

Drugi typ mini-sukienki, to po prostu sukienka jak każda, tyle że... ma krótszą spódniczkę. W tym typie mieści się również i samodzielna mini-spódniczka. Długości pokazane są na zdjęciach. 10 cm nad kolano, albo jeszcze mniej. Rzecz musi być zdecydowanie krótka, to musi być widać. Jak będzie długościowo nijaka (3–4–5 cm nad kolanem), to nie będzie to żadne „mini" tylko po prostu wyrośnięty jakiś ciuch. Trzeba się więc zdecydować.

No i oczywiście spojrzeć krytycznie na swoją figurę. Aktualnie „mini" nie jest obowiązkowym „modnym mundurkiem" ale jedną z propozycji do wyboru. Więc wybierać trzeba z korzyścią dla swojego wyglądu (i z myślą o estetycznych doznaniach otoczenia też). Rozumiemy się, prawda?!

RIUSZKA

Piosenkarstwo to taki niemęski zawód

CIĄG DALSZY ZE STR. 5

– Co Pani najbardziej przeszkadza w pracy?

– Złe warunki występów, zła organizacja. Wiele koncertów odbywa się w salach, gdzie nie ma kulis, garderoby, akustyka jest fatalna, a całe światło, które ma pomagać w budowaniu występu, stanowi jeden oślepiający reflektor. To automatycznie obniża poziom i sprawia, że takie występy stają się po prostu chałturą. Często są to kłopoty ze zdobyciem odpowiedniej aparatury muzycznej. Inna sprawa to kwestia nagrań – są złej jakości: na wydanie płyty czeka się całymi miesiącami. Trudno też zainteresować stałymi występami dobrych muzyków, którzy są źle opłacani. Po co mówić dalej, listę można by ciągnąć w nieskończoność...

– Czy czytuje Pani recenzje ze swoich występów?

– Tak i bardzo się nimi przejmuję. Choć, jak zwykle „swoje wiem".

– Czy współpracuje Pani z mężem, który jest reżyserem znanego krakowskiego teatru „STU"?

– Nie. Zbyt długo zależałam tylko od siebie, trudno byłoby mi się podporządkować. Krzysztof Jasiński jest tak pochłonięty swoim teatrem, że chyba niełatwo byłoby mu to pogodzić.

– Czy nie pociąga Panią aktorstwo?

– Bardzo bym chciała zagrać w jakimś musicalu, ale mało się u nas takich rzeczy robi. Gdybym dostała jakąś ciekawą propozycję, zagrałabym...

– W jakim kolejnym wcieleniu estradowym zobaczymy Panią?

– Nie potrafię tego jeszcze powiedzieć. Wiem natomiast, że towarzyszyć temu będzie muzyka krakowskiej grupy jazzowej „Laboratorium", która będzie nieco agresywna, zaś teksty – to prawie poezja nadająca się do scenicznej interpretacji.

– Ma Pani dom, dwoje małych dzieci – jak w nawale obowiązków rodzinnych i zawodowych organizuje sobie Pani czas jako matka, kobieta, pani domu?

– Jest to bardzo trudne. Przeważnie cierpi na tym dom. Syn Jaś ma 2 i pół roku i bardzo tęskni, gdy wyjeżdżam; trzymiesięczna córeczka Kasia chyba też. A poza tym mnie, jak wszystkich, dotyczą różne niedogodności życia codziennego, np. zaopatrywanie domu. Potrzeba ogromnej energii, żeby to wszystko ogarnąć, podołać obowiązkom domowym i jeszcze myśleć o repertuarze.

– Czy chciałaby Pani, aby któreś z dzieci poszło w Pani ślady?

– Raczej nie, zwłaszcza syn. Piosenkarstwo to taki niemęski zawód...

EWA DUSZCZYK
MAREK GAJEWSKI (PAP)

PO BLISKO 5 LATACH „SALUT-6" PRZESTAŁ ISTNIEĆ

Dokładnie stacja orbitalna „Salut-6" pełniła swą misję w kosmosie 4 lata i 10 miesięcy. 29 lipca br. przystąpiono do jej likwidacji. Na rozkaz z Ziemi przy pomocy systemu silnikowego dokonano korektury trajektorii „Saluta-6", a właściwie całego zespołu, gdyż ze stacją połączony był statek bezzałogowy „Kosmos-1267". Po odpowiednim zorientowaniu zespołu w przestrzeni i w dokładnie przewidzianym czasie włączono zdalnie silniki hamujące „Kosmosu-1267". Po wyhamowaniu oba aparaty przeszły na trajektorię lądowania, weszły w gęste warstwy atmosfery i spłonęły. Miało to miejsce nad wyznaczonym rejonem Oceanu Spokojnego. Specjalnie dobrano ten obszar, aby w razie niecałkowitego spalenia, szczątki aparatów mogły bez wyrządzenia szkody wpaść do oceanu.

Przypominamy pokrótce służbę „Saluta-6". Jest ona niezwykle bogata. Zrealizowano na tej stacji programy badawcze 5 ekspedycji podstawowych i 11 ekspedycji kilkudniowych. Łączny czas funkcjonowania stacji z załogami na pokładzie wyniósł 678 dni. Dokonano aż 35 połączeń z „Salutem-6" pilotowanych i automatycznych statków. W pełni zdał egzamin system zaopatrzenia stacji przy pomocy automatycznych statków towarowych typu „Progress". Stacja „Salut-6" przyjęła na swój pokład 9 międzynarodowych załóg. Przedstawicielem Polski był jak wiadomo, na przełomie czerwca i lipca 1978 roku, Mirosław Hermaszewski, a jego partnerem ze strony ZSRR był Piotr Klimuk. Aktualnie funkcję „Saluta-6" pełni na orbicie od 19 kwietnia br. „Salut-7".

PREZES

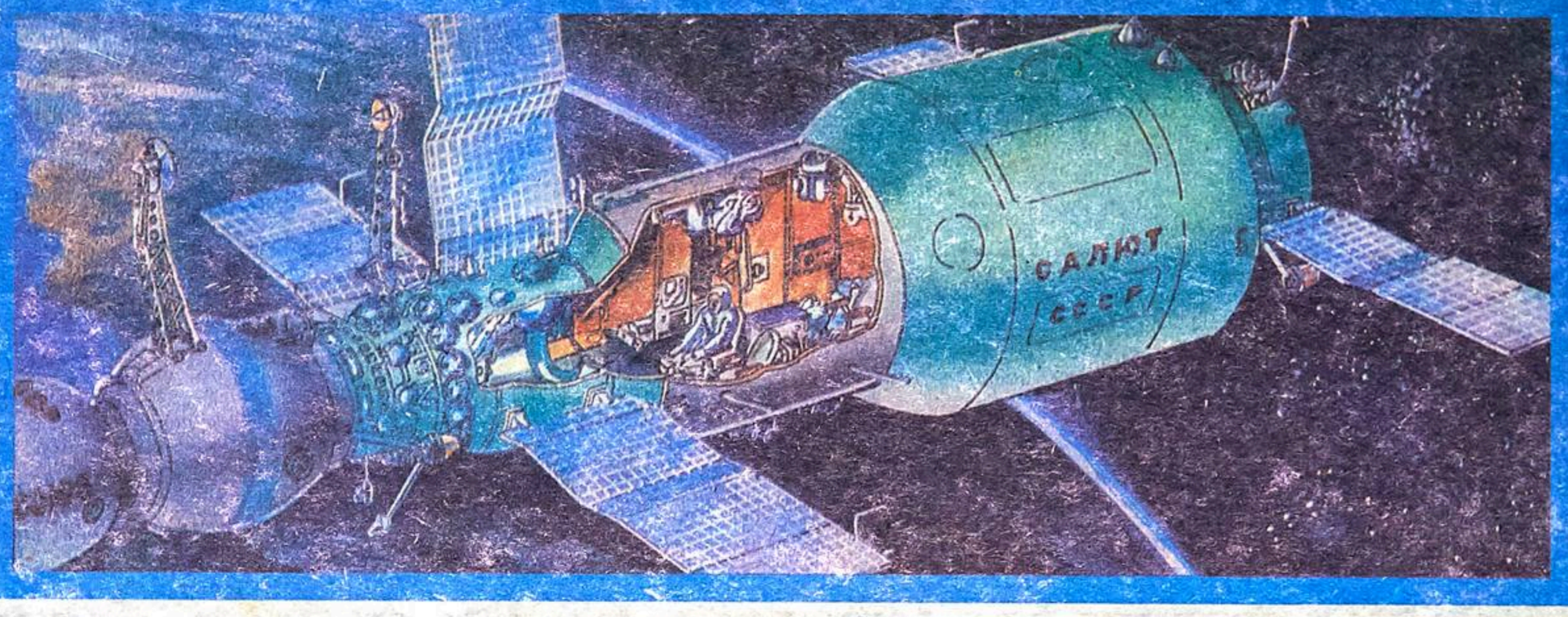

TAJEMNICA CZASZKI PRZEZNACZENIA

Z wielkim zainteresowaniem czytam każdy wtorkowy TOMIK. Najwięcej interesują mnie w nim listy o sprawach i wydarzeniach tajemniczych, zagadkowych i nierozwiązanych. To skłoniło mnie do napisania tego listu. Chciałbym podzielić się z czytelnikami TOMIKA informacjami o Czaszce Przeznaczenia.

W 1927 roku amerykański archeolog F.A. Mitchel-Hadges wraz ze swoją córką Anną prowadził prace wykopaliskowe w starożytnym mieście Majów Lubaantuna (Mieście Upadłych Kamieni) położonym w Brytyjskim Hondurasie. Właśnie gdy kończył on owe prace, w blasku zachodzącego już słońca, wśród kamiennych zwalisk, coś zamigotało. Archeolog przekonany, iż chodzi tu o jakąś starożytną złotą ozdobę Majów, przystąpił wraz z córką do ostrożnego odgrzebywania zwałów kamieni, spod których wydobyli wreszcie... ludzką czaszkę z polerowanego kwarcu.

Samo odkrycie czaszki wśród zabytków Majów nie jest żadną sensacją, ponieważ powszechnie jest znany kult śmierci w cywilizacji Majów, przejawiający się m. in. licznymi rzeźbami i rysunkami przedstawiającymi kościotrupy. Dokładne i szczegółowe, 6-letnie studia nad czaszką z Lubaantuna zwaną „Czaszką Przeznaczenia" przeprowadził historyk sztuki F. Darland. Wysunął on następujące wnioski:

1. Cała ważąca ponad 5 kg czaszka wycięta została z jednego kryształu kwarcu bez zastosowania jakichkolwiek narzędzi metalowych.

2. Kształty czaszki idealnie wręcz naśladujące wszystkie najdrobniejsze nawet szczegóły anatomiczne, zostały wypolerowane za pomocą pasty złożonej z piasku krzemowego i pyłu kwarcu. W takim wiec razie praca nad tak dokładnym wypolerowaniem czaszki musiała trwać około 300 lat!

3. Ruchoma dolna szczęka czaszki została tak osadzona w wypolerowanych gniazdach, że przy swobodnym zawieszeniu czaszki, najdrobniejszy nawet ruch powoduje, że szczęka zaczyna się ruszać sprawiając wrażenie, iż czaszka przemawia.

Uczonych zadziwiły i zaskoczyły nie tylko umiejętności rzeźbiarzy „Czaszki Przeznaczenia", ale i głęboka ich wiedza. No bo jak wytłumaczyć fakt, iż wiele wieków przed opracowaniem współczesnej fizyki światła twórcy czaszki wykorzystali w niej skomplikowany system soczewek, pryzmatów i pustych kanałów, za pomocą których to uzyskali specjalne, niezwykłe efekty, takie jak:

– Jeśli pod czaszką umieścimy jakieś źródło światła, to jej oczodoły zaczynają niesamowicie błyszczeć, a przy odpowiednim jego ukierunkowaniu nawet emanować nikłe promyki światła.

– Jeśli źródło światła zastąpimy pewnymi przedmiotami – pilnie wpatrując się w oczodoły czaszki będziemy mogli je ujrzeć... w jej wnętrzu!

Pewien ekspert – mineralog amerykańskiej firmy Huelett-Paccard Comp. tak pisał o „Czaszce Przeznaczenia" w specjalistycznym miesięczniku „Argosy": „Ta cholerna sztuka w ogóle nie powinna istnieć na świecie. Ci, którzy ją wycięli, nie mieli najmniejszego pojęcia o krystalografii i całkowicie zignorowali wszystkie osie symetrii. Nie wyobrażam sobie, by nie rozleciała się ona w drobne kawałki w toku produkcji!"

Tyle wypowiedź eksperta-mineraloga, faktem jednak jest, iż fenomen z Lubaantuna nie rozleciał się ani w toku produkcji ani też w ciągu kilkuset lat swego istnienia. Czy ten fakt świadczy wszakże o niewiedzy jej twórców o krystalografii, czy też może o wiedzy tak głębokiej, że nie dotarł do niej jeszcze współczesny mineralog?

Nic więc dziwnego, że dla wytłumaczenia istnienia przedmiotu tak niezwykłego F. Darland wysunął... równie niezwykłą hipotezę. Według tej hipotezy Majowie nie mogli tej czaszki wykonać sami. Darland sądzi, iż czaszka wykonana została być może jeszcze w starożytnym Egipcie lub Babilonie a dopiero później przewieziona do Ameryki, gdzie specjaliści narodu Majów przez długie dziesięciolecia albo nawet wieki poświęcili swoje siły i swoją wiedzę oraz umiejętności dla dalszego jej udoskonalania.

W roku 1972 córka odkrywcy „Czaszki Przeznaczenia" Mitchela-Hadgesa, Anna, ofiarowała ją Muzeum Indian Amerykańskich w Nowym Jorku. Z tejże przyczyny poszerzyło się wprawdzie grono naukowców zajmujących się czaszką, ale nie potrafiło rozjaśnić mroków tajemnic otaczających ten fenomen.

Czy kiedyś w przyszłości zagadka stworzenia i pochodzenia „Czaszki Przeznaczenia" zostanie definitywnie rozwiązana? Prosiłbym więc wszystkich czytelników, którzy posiadają podobne zainteresowania aby do mnie napisali. Czekam na listy z własnymi hipotezami czytelników w sprawie „Czaszki Przeznaczenia".

Piotr Graczyk

P.S. Opracowałem w/g książki „Goście z kosmosu?" Lucjana Znicza.

KĄCIK KORESPONDENTÓW

Interesuję się możliwością kontaktu z cywilizacjami pozaziemskimi, fantastyką, ufologią. Przeczytałem wiele książek na ten temat. Poszukuję ponadto następujących książek: „Ósmy krąg piekieł", „Pierwsze podróże w czasie", „Obszar nieciągłości", „Janczarzy kosmosu" – **Artur Zawada**

Astronomią, fantastyką naukową, możliwością życia we wszechświecie, podbojem kosmosu: **Janusz Hernik**
Bohdan Mazurek,
Marek Więcko
Jarosław Wiśniewski

Astronomią ogólną: **Leszek Lewandowski**

Klub Miłośników Astronomii im. J. Heweliusza w Wyszkowie zakupi książki z astronomii i dziedzin pokrewnych. Szczególnie poszukujemy „Poradnika miłośnika astronomii" – Królikowskiego, „Astronomii Współczesnej" – Ostera, „Astronomii Ogólnej" Rybki i czasopism. Do ewentualnej korespondencji prosimy dołączyć znaczek. Adresy, pod które prosimy kierować zgłoszenia: Leszek Gruchalski, lub

UWAGA: zgłaszając swoje nazwisko do kącika korespondentów nie zapomnij podać krótko sprecyzowanych zainteresowań, dokładnego adresu oraz koniecznie swego wieku lub klasy, do której uczęszczasz.

do ciebie przywiązany, bo przecież zawsze był u ciebie właśnie. Czy naprawdę to trzeba powtarzać?

Wtedy babcia przytakiwała, więc chłopiec mógł sobie wyobrazić, słuchając znów tych samych słów, że teraz kiwa głową i nawet uśmiecha się, a za chwilę westchnie, poszuka wzrokiem chłopca, uśmiechnie się do niego i powie:

– Ja przecież wszystko rozumiem.

I mrugnie do chłopca, jak to kiedyś zrobiła, i powie:

– I oboje z nim nie mamy nic przeciwko temu. Przywieź go, jak tylko będziesz chciała.

Ale przecież teraz nie mrugnie, bo nie ma do kogo mrugać. Chłopiec słuchał głosu i słyszał, jak babcia odpowiada uspokajająco, a potem siostra Ewa mówi, że niech się panie naradzą, ja zrobię kawy.

Wcisnął się w najbliższą framugę, usłyszał stukanie pantofli i zobaczył kitel siostry Ewy znikający w pokoju dyrektora, tam jest ekspres, a głosy cicho, ale wyraźnie toczyły przyjazną rozmowę, o nim, mówiły, że czuje się dobrze, wygląda na silnego i na pewno świetnie zniesie podróż, a przed nim całe lato i całkowicie z tego wyjdzie, nawet zapomni o wypadku, przecież to były tylko nieznaczne zadrapania, mogło być gorzej.

Ale przestał już słuchać, bo przecież tam nie mogły stać czy siedzieć one, obydwie, jego mama i jego babcia, tam była tylko babcia, no i czyjś głos, ale tego głosu nie chciał słyszeć, bo jak się ma tylko babcię, to z kim babcia mogłaby rozmawiać o losie chłopca? Głos podobny do głosu mamy, ale mamy nie ma.

Na pewno z tym głosem było coś nie w porządku, nie powinien istnieć, pomyślał chłopiec i sięgnął do kieszeni, żeby uczuć ciepło talizmanu i żeby może coś się stało, ale nie było talizmanu, oddał go tej dziewczynce, która spowodowała katastrofę. Jej talizman jest bardziej potrzebny. Talizman sam wybrał, gdzie chce być. Spojrzał na pustą dłoń, rozwarł ją i zobaczył, że jest zanadto pusta. Oderwał się od ściany i znów stał się szarym cieniem, ale wiedział o tym, przekradał się ku schodom krokiem zwiadowcy, bezszelestnie, uważnie stawiając stopy, dotknął pierwszego stopnia, zawahał się: bo przecież siostra Ewa może do niego zajrzeć. Przed sobą jednak spostrzegł tarczę elektrycznego zegara, wskazywała dziesiątą wieczorem, i westchnął z żalem, bo nikt go już nie mógł powstrzymać i przez całą noc nikt go nie będzie szukać. Siostra Ewa nie przyjdzie mącić chłopcu snu – dopiero w porze śniadania znajdą opuszczony czerwony szlafrok. Ześliznął się na dół. Hall również wymarł od dawna, nieliczne lampy przeświecały przez kilka dużych agaw i sporą palmę, rośliny rzucały na posadzkę niepokojące cienie, chłopiec poszedł ich obrzeżem, ku drzwiom uchylonym leciutko. Ze szczeliny wiał nikły prąd chłodu. Dalej leżała ulica, nieznana, ale chłopiec wiedział, w którą stronę pójść, bo z tarasu oglądał miasto, i siostra Ewa kiedyś powiedziała mu, skąd go przywieźli, i powiedziała, jak to wyglądało.

Przyjechała na skrzyżowanie i przede wszystkim zauważała drogowskaz, a dopiero potem samochód, bo samochód leżał w rowie. Drogowskaz przechylił się i siostra Ewa pomyślała, że samochód uderzył weń, ale nie tak było – samochód ześliznął się w dół. Więc zobaczyła drogowskaz.

Powiedziała, co było na tym drogowskazie. Jakie napisy. I gdzie leży to skrzyżowanie, też powiedziała. Ale nic więcej.

– Mogę ci opowiedzieć o tamtych lasach – zaproponowała, kiedy chłopiec pytał o samochód, jak wyglądał. – I wiesz, tam jest rzeczka. Bardzo blisko do miasta.

Pytał jeszcze wiele razy, ale nigdy nie opowiedziała, jak wyglądał samochód, i jak go znalazła.

Chłopiec wybiegł na ulicę. Znów się uśmiechnął do siostry Ewy. Miał nadzieję, ona jakoś odbierze ten uśmiech, choć nie może go zobaczyć. Nawet nie domyślała się, jak dużo mu jednak powiedziała. Wie, gdzie leży skrzyżowanie, jak nazywa się wieś, i że jest tam rzeka, i gdzieś koło skrzyżowania, wsi czy rzeczki na pewno znajdzie tego, kto mu dał talizman. Bo talizman jest znów mu potrzebny, bo pojawił się ten głos i mówił, jakby mógł zabrać chłopca, tylko nie chciał, a babcia potakiwała. Dlatego potrzebny talizman. Żeby to odwrócić. Może tamten, ten ktoś ze wsi, ma drugi. Chłopiec nie pragnął dostać drugiego talizmanu, ale miał nadzieję, że tamten pozwoli mu go potrzymać. Pamiętał jego twarz i pozna go na pewno. I rękę z czterema palcami. Nietrudno poznać i nietrudno znaleźć. To mała miejscowość.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne
Sebastian Paszczenko

Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska

Nakł. 395 000
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 3431/G. Z-25

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

W KINIE siedzi pan z pudlem. Film ogromnie bawi pudla, co chwila wybucha on śmiechem.

– Ma pan wesołego psa! – zwraca się do właściciela sąsiadka. – Nie mogę wyjść z podziwu!

– Ja też! – odpowiada właściciel pudla. – Bo kiedy czytał to w książce, był zupełnie poważny...

***

– KOWALSKI, GDZIE płynie Prąd Zatokowy?

– Ja jestem słaby z elektryczności, panie profesorze...

Wstał. Szlafrok wisiał tuż obok, sięgnął pewnym gestem, na oślep i po krótkiej zwłoce odłożył na łóżko. Ma ubranie. Pokaże się im w ubraniu, zawsze to lepiej niż wyglądać na chorego.

Kiedy one spojrzą na niego i zobaczą, że jest w ubraniu, a nie w czerwonym, za dużym szlafroku, to pomyślą, że jest zdrowy. I samodzielny. Wiedział i tak, że jest samodzielny, ale one może nie wiedziały. Więc nie będzie nic mówił, pokaże się w ubraniu i one powinny zrozumieć, że nie sprawi nikomu kłopotów.

Spodnie były szorstkie, a sweter pachniał trochę dziwnie, czuło się pralnię, ale i jeszcze coś, jakby sweter w tej pralni był za długo.

– Rzeczy pachną – powiedział półgłosem. – Ludzie też.

Mógł się odzywać, bo był sam w pokoju. Kto tylko potrafił, cudownie wyzdrowiał wobec dwóch wolnych dni i przy pięknej pogodzie.

Buty wydawały się za małe. Wiosenne buty, zbyt ciężkie. Tupnął lekko, podłoga zadudniła trochę za głośno. Chłopiec znieruchomiał, ale po chwili tupnął jeszcze raz. Na całym piętrze były tylko one, i siostra Ewa, i chyba lekarz, i trochę chorych, ale takich, którzy w ogóle nie wstawali z łóżek.

One muszą być u siostry Ewy albo u lekarza. Znał drogę, to te pokoje obok siebie na drugim końcu korytarza, blisko schodów. Pomyślał, że w tej chwili na pewno słuchają, co ma lekarz albo pielęgniarka do powiedzenia o nim, i naradzają się, i chcą znaleźć najlepsze wyjście z sytuacji, ale przecież nie ma sytuacji, bo on nic nie zrobi. Pokaże się w ubraniu, może przypomni, że się opalił na szpitalnym tarasie, i może jeszcze powie, że na przykład będzie się dobrze uczył. Właściwie o nauce nie warto mówić, ale nigdy nic nie wiadomo. W gruncie rzeczy nigdy nie potrafił przewidzieć, które z rzeczy, które mówi, są ważne, a które nie.

Mama czasem śmiała się, kiedy podarł ubranie, a czasem nie zauważała, że przyniósł kwiaty. Ale było i odwrotnie.

W korytarzu wygaszono prawie wszystkie światła, sprawdził, uchylając lekko drzwi. Jeszcze raz wrócił do łóżka, namacał szafkę, wyciągnął z szuflady scyzoryk i długopis, sięgnął po szlafrok i natychmiast znów go odrzucił. Przypomniał sobie, że w kieszeni nie było już talizmanu.

Teraz trzeba spokojnie przejść do pokoju siostry Ewy, posłuchać, sprawdzić u lekarza, są tam na pewno. U siostry albo u lekarza. Oczy siostry Ewy mówią więcej niż chcą. Linoleum pochłonie odgłos kroków, ale może zaskrzypieć, trzeba uważać.

Chłopiec przesunął się przez korytarz jak szary cień i prawie wsiąkł w ścianę, kiedy usłyszał głos. Mówiła ona, nie mógł się mylić.

Wyobraził sobie, jak ona stoi obok babci i rozczapierzając palce, a potem zaginając je, znów wylicza wszystko, co uważa za ważne. Już raz kiedyś ją tak widział. Babcia przyleciała, a ona stała nad babcią, w tym swoim granatowym kombinezonie, ciasno przylegającym do ciała, i przechylała się, i rozczapierzała palce, a potem zaginała je, i mówiła do babci głosem już nie zmęczonym, ale nieskończenie łaskawym:

– Przecież musisz zrozumieć, to chyba łatwe. Po pierwsze, on, mój niedoszły mąż, nie nadaje się do wychowywania dziecka i ma tego, szczerze mówiąc, dosyć. Po drugie, ja mu go nie oddam, ale sama wiesz, że nie mam warunków do trzymania dziecka. Po trzecie, to tylko parę lat. Po czwarte chłopiec jest

Dokończenie na str. 7